

Piotr Trzebuchowski

DETEKTYW KRIS W PÓŁMROKU ŚWITU

*Gdy robi się naprawdę niebezpiecznie,
jeden człowiek zdziała więcej niż służby bezpieczeństwa...*

NOVAE RES

Piotr Trzebuchowski

DETEKTYW KRIS

W PÓŁMROKU ŚWITU

POWIEŚĆ AKCJI I FIKCJI



NOVAE RES

Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych
postaci i nazwisk jest w tym tekście
najzupełniej przypadkowe.

SPIIS TREŚCI

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[ROZDZIAŁ XV](#)

[ROZDZIAŁ XVI](#)

[ROZDZIAŁ XVII](#)

[ROZDZIAŁ XVIII](#)

[ROZDZIAŁ XIX](#)

[ROZDZIAŁ XX](#)

[ROZDZIAŁ XXI](#)

[ROZDZIAŁ XXII](#)

[ROZDZIAŁ XXIII](#)

[ROZDZIAŁ XXIV](#)

[ROZDZIAŁ XXV](#)

[ROZDZIAŁ XXVI](#)

[ROZDZIAŁ XXVII](#)

ROZDZIAŁ I



Krzysztof siedział w fotelu za biurkiem w swoim niedawno otwartym biurze detektywistycznym.

Kiedy zdecydował się zostać detektywem, jego wiedza na temat detektywistyki była bardzo mała. Wiedział tylko, że jest względnie odważny, dość inteligentny i nic innego nie potrafi robić. No tak, miał też talent do walki wręcz i dobrze strzelał, umiał też skakać ze spadochronem, ale wątpił, czy to może się przydać detektywowi w dzisiejszej Polsce. Był bez zawodu, a wspomniane umiejętności nabył w „czerwonych beretach”.

Gdy się ustatkował, ożenił z Dorotą, a na świat przyszły bliźniaki, posiedział w domu rok, wśród buteleczek i pampersów, aż w końcu stwierdził, że oszaleje, jeśli nie zajmie się czymś poważniejszym.

Zapisał się więc na kurs detektywów, zdał egzamin

i otrzymał licencję.

Domek miał niewielki, ale z ogródkiem i garażem, gdzie stał całkiem młody samochód, który kupili za gotówkę, bez kredytu, więc należał do nich, a nie do banku. Oboje byli w średnim wieku, ale udało im się poskładać życie osobiste w całkiem udaną rodzinę. Pensja rehabilitanta, którą przynosiła Dorota, wystarczała z trudem na utrzymanie i Krzysztof nie czuł się z tym dobrze jako głowa rodziny.

Wymyślił więc zawód dla siebie, a ponieważ bazował na tym, co widział, słyszał i czytał, wynajął w centrum Gdyni mini lokal w jakiejś zabudowanej bramie prawie w środku miasta. Lokal miał małą toaletę z umywalką, a po poprzednim przedsiębiorcy pozostały dwa biurka, krzesło i fotel.

Jak to bywa w życiu rodzinnym, musiały pojawić się komplikacje. Dorota zgodziła się na jego zajęcie, ale postawiła warunek. Miał przyjąć do pomocy sekretarkę, jej dwudziestopięcioletnią bezrobotną bratanicę, podobno bardzo inteligentną dziewczynę po filologii polskiej.

Bratanica okazała się wysoką, patykowatą okularnicą, która oprócz znajomości zasad języka polskiego, poruszała się dobrze w internecie i w tych paru niewielkich sprawach, które dotychczas rozwiązali, była bardzo przydatna. Znała też dobrze angielski i niemiecki, studiując, pracowała w wakacje za granicą, przeważnie jako opiekunka starszych ludzi, z którymi musiała się jakoś dogadać.

Sprawy, jakie trafiały im się dotychczas, dotyczyły

przeważnie tzw. rogacizny, bo tak detektywi nazywali te związane ze śledzeniem niewiernych partnerów. Czasami były to zlecenia bardzo dobrze płatne, ale w Krzysztofie i jego sekretarce Kasi budziły przeważnie niesmak.

Poza tym, gdy akurat nie było nic do roboty, gadali bez końca o wszystkim. Kasia zaraz na początku umieściła w internecie ich firmową stronę, co pozwoliło na powitanie ich w środowisku lokalnych detektywów, którzy czasem wpadali do nich na kawę, a także chętnie zapraszali ich do siebie. Urządzenie biura trochę kosztowało, ale czynsz był umiarkowany, a stały lokal budował u klientów większe zaufanie niż tylko numer telefonu komórkowego czy adres internetowy. Krzysztof mógł więc powiedzieć, że dochód z pracy wystarcza mu na utrzymanie rodziny, choć szafu nie ma.

Pewnego dnia detektyw Kris siedział więc przy biurku w fotelu, jego sekretarka Kasia również przy biurku, ale na krześle, i czekali na następną sprawę, porządkując papiery. Byli już po drugiej kawie i, oboje zajęci, nic nie mówili.

Drzwi wejściowe do biura były szklane, zmatowione, i dostrzegali czasem przez nie cienie przechodniów. Na drzwiach pysznił się napis „Biuro Detektywistyczne Kris”, który widzieli od wewnątrz, oczywiście na lewą stronę.

Cień kobiety zbliżył się nagle do szyby, więc Krzysztof odruchowo poprawił się w fotelu.

Ruch powietrza wywołany otwarciem drzwi spowodował, że w biurze zapachniało jakimiś eleganckimi perfumami,

klientka chyba była prawdziwą damą.

Pięknie osadzona na długiej szyi głowa, czarne, lśniące włosy uczesane gładko, z hiszpańskim kokiem upiętym nisko i przeplecionym jedwabną chustą, szlachetny rys podbródka, dumne usta i czarne, ogromne, błyszczące oczy sprawiały, że miała w sobie coś, co nie pozwalało się jej sprzeciwić czy zwątpić choćby w jedno jej słowo.

- Przyszłam tutaj, bo muszę coś wyjaśnić. Coś bardzo dla mnie ważnego, o czym nie powinien dowiedzieć się mój mąż - spojrzała niechętnie na Kasię, która natychmiast pochyliła się niżej nad komputerem, jakby chciała podkreślić tym swoją własną nieważność.

- Proszę się nie obawiać - powiedział Krzysztof. - Brak dyskrecji już dawno wykluczyłyby nas z rynku agencji detektywistycznych. Takie przepisy!

Kasia wstała i rzuciła:

- Muszę iść i załatwić coś w Urzędzie Miejskim.

Wzięła z wieszaka kapelusz i parasolkę i wyszła, skinąwszy głową klientce.

- Słucham więc - Krzysztof zawiesił głos.

- Nazywam się Natalia Kosowska. Kosowska po mężu. Mój mąż jest człowiekiem zamożnym. Mówię o tym, bo ma to znaczenie w sprawie, z którą do pana przyszłam. Otóż miałam... właściwie mam romans... Chciałam właśnie powiedzieć o tym mężowi i rozstać się z nim, ale sprawy się skomplikowały. Niespodziewanie zjawił się mój narzeczony

sprzed kilku lat, a ja, wie pan...

- Ciągle go pani kocha?

- Tak, to chciałam powiedzieć. On zniknął na kilka lat, nic nie mówiąc, nie wiedziałam, gdzie był, myślałam, że nie żyje. Wrócił i wytłumaczył mi wszystko, więc znów planowaliśmy być razem...

- Powiedział pani, gdzie był?

- Tak. Musiał wyjechać do USA, ukrywał się przed kimś. Kimś bardzo niebezpiecznym. Groziła mu śmierć. I dlatego nic mi nie powiedział...

- Dobra, stara zasada: „Jak nie wie, to nie powie” - wtrącił Krzysztof, choć nie było to specjalnie eleganckie.

- Dokładnie tak - zgodziła się niespodziewanie łatwo Natalia.

- Przepraszam panią, ale mam parę dodatkowych pytań. Imię i nazwisko partnera? Czym zajmował się wtedy? Kiedy wrócił?

- Wrócił dwa miesiące temu. Był dziennikarzem. Dziennikarzem śledczym. Nazywa się Karol Świdorski. Wyjechał, no, właściwie zniknął w marcu dwa tysiące ósmego roku.

- Czyli nie było go osiem lat. Gdzie publikował swoje reportaże, wyniki śledztw czy jak to nazwać?

- W „Tygodniku Krajowym” i „Kurierze Śledczym”. Napisał także kilka książek. Mam je wszystkie, mogę panu

pożyczyć.

- Bardzo chętnie przeczytam, to może mieć związek ze sprawą.

- Więc je dostarczę. Mój mąż, jako człowiek zamożny...

- Imię męża proszę - przerwał znów.

- Sławomir Kosowki. Ma on hobby. Zbiera oryginalne samochody. Posiada ich kilkadziesiąt. I właśnie pożyczyłam Karolowi pod nieobecność męża jeden z nich - wyjęła z torebki karteczkę. - Ford mustang convertible, taki czerwony, numery tablic... - podyktowała numer, a Krzysztof zapisał wszystko w notesie.

- Kiedy pani pożyczyła mu to auto?

- Pięć dni temu. I znów kontakt się urwał. A mąż wraca za dziesięć dni i na pewno zauważy brak auta... Trzyma samochody w dwóch miejscach. W garażu w Warszawie, wie pan, w apartamentowcu jest podziemny garaż i tam wykupił dwadzieścia miejsc na samochody. Drugi garaż jest w naszej... jego posiadłości na Mazurach. Niedaleko jeziora Wigry. Chce pan adresy?

- Oczywiście - Kris zanotował skrupulatnie wszystkie dane. - Więc mam odnaleźć Karola Świderskiego i samochód?

- Przede wszystkim Karola. Boję się, że znów ma kłopoty. Samochód też proszę znaleźć. Chcę być *fair* wobec męża, kiedy się rozstaniemy...

- Rozumiem. Proszę podać mi jeszcze wszystkie możliwe adresy pana Karola. To znaczy miejsca, gdzie mógłby się schować, jakieś mieszkania, kempingi, domy bliskich krewnych...

- Dobrze. Jego była żona mieszkała, a może nadal mieszka, w Szczecinie, w willowej dzielnicy Pogodno, przy ulicy... podam panu później, mam to zapisane w starym kalendarzu. Ojciec żyje gdzieś w górach, chyba w Nowym Targu, ma na imię Mścisław, dlatego zapamiętałam. Ale Karol miał znajomych wszędzie, najczęściej wspominał o Wiedniu i Hamburgu.

- Pani Natalio - uznał, że może sobie pozwolić na poufałość - czy Karol wspominał ostatnio o jakichś kłopotach, wrogach, których się obawiał?

- Wie pan, w takim zawodzie miał mnóstwo wpływowych wrogów, którzy go nienawidzili, ale raczej mi o tym nie opowiadał. Mam drugi telefon na kartę, niech pan sobie zapisze numer, jakby chciał pan o coś jeszcze zapytać, proszę wysłać SMS-a, a ja oddzwonię, jak będę sama - wstała, uznając sprawę za zakończoną.

- Dobrze, jeszcze tylko jedna kwestia. Biorę trzydzieści złotych za godzinę, plus koszty - dodał formalnie, nie zrobiło to na niej jednak żadnego wrażenia.

- Oczywiście. Jeszcze dostanie pan premię, jeśli sprawa zakończy się sukcesem.

Powietrze znów zapachniało jej perfumami, kiedy znikiała

za drzwiami.

Kasia pojawiła się prawie natychmiast po jej wyjściu.

- Fajnie, że jesteś - powiedział Kris - Zobacz, co ogólnie wiadomo o Sławomirze Kosowskim i Karolu Świdorskim. Wiesz, poszukaj w internecie, popytaj w naszych źródłach, a ja przygotuję się do drogi.

Krzysztof postanowił znaleźć Karola Świdorskiego jak najszybciej. Na ściennych kalendarzach w domu i w biurze zaznaczył dziesięć dni, które pozostały mu do powrotu męża klientki.

Dorota zmartwiła się, że Kris zabierze samochód na nie wiadomo jak długo, więc jako posiadacz, było nie było, własnej działalności skontaktował się z firmą oferującą auta w leasingu i zamówił toyotę yaris. Dorota parę razy wspominała, że chciałaby mieć taki mały samochód i obecna sytuacja zmusiła go wreszcie do działania.

Granatowe, zgrabne autko już na drugi dzień stało przed ich domem. Kris wręczył więc żonie kluczyki i dokumenty, a potem pojechał do biura starym autem.

- Znalazłam w internecie co nieco na temat tych dwóch panów. Wydrukowałam ci wszystko, przeczytasz w drodze - powiedziała Kasia.

- I bardzo słusznie. Dobrze przewidziałaś, że wyjeżdżam. Zajmij się jeszcze ojcem Karola, może uda się dowiedzieć o nim czegoś telefonicznie. Poinformuj mnie, jak znajdziesz

coś ciekawego. Ja na razie jadę do Szczecina, do jego byłej żony. Od czegoś trzeba zacząć.

ROZDZIAŁ II



Willowa dzielnica Szczecina była zielona i spokojna. Przedwojenne wille, kanciaste, pudełkowate, budowane w latach sześćdziesiątych, i całkiem nowoczesne, nowobogackie rezydencje, niektóre z basenami i kortami tenisowymi, sprawiały wrażenie dostatku i nudy.

Kris pchnął furtkę, wbiegł po kilku schodkach i zadzwonił. Po drugiej stronie drzwi rozległ się gong, detektyw musiał czekać długą chwilę, zanim się otworzyły.

Kobieta stojąca w drzwiach mogła mieć trzydzieści pięć lat. Była niewątpliwie piękną blondynką. Niebieskie oczy, zmysłowe usta nieprzykryte jeszcze tego ranka makijażem, zwracały uwagę i prowokowały każdego chyba mężczyznę jakąś beczelną, natychmiastową bezpośredniością.

- Maria Świdarska? - zapytał Krzysztof.

- Tak, a z kim mam przyjemność? - uśmiechnęła się

zalotnie.

- Jestem detektywem - podał jej wizytówkę. - Pani były mąż zaginął i wynajęto mnie, żebym go odnalazł.

- O Boże. Karol zaginął?

Zaprosiła go gestem do środka i wskazała fotel w salonie.

- Napije się pan kawy? Napije się pan - stwierdziła zaraz.
- Musi mi pan dać parę minut, dopiero wstałam - włączyła ekspres do kawy i zniknęła na schodach.

Kiedy zeszła z powrotem, wyglądała ślicznie. Wijące się blond włosy, delikatny makijaż i prosta, elegancka, granatowa sukienka wzbudzały szacunek i prowokowały jednocześnie. Krzysztof popatrzył na nią z przyjemnością, ale zaraz uznał, że trzeba przejść do sprawy.

- Niech pan pyta, ja naleję kawy - ruszyła do kuchni z gracją, pozwalając mu podziwiać swoją zgrabną figurę.

- Kiedy widziała się pani ostatni raz z panem Karolem?

- Był tu kilka dni temu. Trzy... nie, cztery dni temu. Jechał do Niemiec, wpadł na kawę, wie pan, to kawał drogi, a nie rozstaliśmy się jak wrogowie. Więc wpadł i siedział z godzinę, rozmawialiśmy - rozmarzyła się trochę, jakby Karol ciągle nie był jej obojętny.

- Dokąd dokładnie jechał i po co?

- Zapewne pan wie, że Karol był dziennikarzem śledczym. Jeszcze kiedy byliśmy razem, zajmował się jakąś słynną aferą „Żelazo”. Podobno afera się skończyła, wszystko wyjaśniono,

tylko on odkrył, że brakuje kupy pieniędzy i nie wszystko jest oczywiste. Jak sam mówił, znalazł jakiegoś człowieka, który podobno zginął, ale tak naprawdę wcale nie zginął, tylko mieszkał w Niemczech. Ale potem okazało się, że jakiś wpływowy facet w Polsce się o tym dowiedział i chciał go zabić. Podobno przecięli mu hamulce w aucie, potem ktoś go próbował potrącić samochodem, ale Karol na szczęście uskoczył. Później się rozstaliśmy, bo zakochał się w innej. W Natalii, znaczy.

- A czy wspominał, gdzie w Niemczech szukał tego aferzysty?

- Nie mówiliśmy o tym, ale dawniej zatrzymywał się w Hamburgu, gdzieś koło rzeki... O, już mam, Sankt Pauli się to miejsce nazywa. Tam podobno był jakiś niedrogi hotel, w sam raz na jego... to znaczy wtedy na naszą kieszeń - dodała z nieukrywanym już smutkiem.

- A teraz, kiedy panią odwiedził, mówił, dokąd jedzie?

- Mówił tylko, że do Niemiec. Ale dokąd dokładnie? Nie wiem... Czy wspominał Hamburg? Nie pamiętam. Przyjechał takim pięknym, wielkim, czerwonym autem. Chyba nieźle mu się wiedzie. Choć ze mną też nie miał źle...

- Czy mogę do pani zadzwonić, jeśli będę potrzebował jeszcze coś wiedzieć?

- Pewnie. Niech pan sobie zapisze numer.

- Dzięki. Pójdę już. Mam mało czasu - wklepał numer w swoją komórkę.

- Do widzenia. Jakby czegoś się pan o nim dowiedział... To znaczy, jakby go pan znalazł, niech pan zadzwoni... Byliśmy razem parę lat. Przywiązałam się do niego...

- Oczywiście. Zadzwonię na pewno.

Najpierw Kris pojechał do jakiejś galerii handlowej, gdzie mieli WiFi. Usiadł w restauracji, zamówił solidny obiad i poszukał hasła: afera „Żelazo”. Przeczytał uważnie znalezione informacje i zapisał parę uwag w notatniku. Kiedy skończył jeść, wsiadł do samochodu i ruszył na zachód.

ROZDZIAŁ III



Werner Krawietz patrzył z okna swojej łazienki na błyszczącą w słońcu Elbę. Kupił ten dom za duże pieniądze. Hamburg w pobliżu Süllberg nie był tani. Ale luksus i dyskrecja muszą kosztować. Jego posiadłość z jednej strony graniczyła z rzeką, zaraz za ogrodem, w maleńkiej przystani, cumował *speedboat* zawsze gotowy do użycia. Od strony ulicy dom był całkowicie zasłonięty gęstymi krzewami o modnej, szarzielonej barwie i długich, ostrych kolcach.

Za nimi stał trzymetrowy mur najeżony *razor wire* i kamerami podłączonymi do studia o wielu ekranach.

Nie sposób było z ulicy dostrzec nawet kawałeczka domu. I o to chodziło. Werner „na żywo” nie widział nigdy nawet swoich najbliższych sąsiadów. Miał za to ich zdjęcia i wszystkie dane w komputerze. Na wszelki wypadek.

Był zawodowcem. Urodził się w roku 1975. Jego matka była Niemką, z którą ojciec związał się na dłużej, kiedy zdecydował się zostać w tej okolicy. Zginęła w wypadku pięć lat po jego urodzeniu. Wychowywał się w prywatnych przedszkolach, a potem w prywatnych szkołach. Kiedy skończył 16 lat, ojciec gdzieś zniknął i od tej pory mieszkał sam w tym domu, na który pieniądze dostał w spadku po nim. Od ojca nauczył się też nie wierzyć nikomu i nie ujawniać swoich danych.

Trzymał się tego nawet, kiedy zakochał się w pewnej pięknej Filipince z St. Pauli. Kupił jej mieszkanie na Barmbeku i tam żyli przez kilka lat. Do roku 1995, kiedy po „załatwieniu” we Francji Nicolasa Berga, wielkiego managera i polityka, musiał zniknąć z Europy na pół roku.

Doceniał niemiecką policję kryminalną i więcej u Sou na Barmbeku się nie pojawił. Czasem tylko, przejeżdżając przez jej ulicę, widział zapalone światła w mieszkaniu, więc zakładał, że wszystko w porządku. Zostawił jej ćwierć miliona dolarów w gotówce na pożegnanie, a ona nie była ani głupia, ani leniwa, więc na pewno dobrze sobie radziła.

Westchnął. To, co zostawił mu ojciec, Zenon Krawiec, pracownik SB z Polski, zanim zdecydował się zostać w Niemczech, starczyło na posiadłość i na nic więcej. Werner zaczął radzić sobie sam.

Z prywatnych szkół, do których uczęszczał jako dziecko i młody człowiek, wyniósł dobrą znajomość angielskiego i francuskiego, niemieckiego nauczył go Hamburg,

a polskiego ojciec.

Był bardzo bystrym uczniem i od ojca szybko nauczył się również braku skrupułów w dążeniu do celu oraz tego, że życie ludzkie nie ma większego znaczenia i można je zgasić, jeśli przeszkadza albo jeśli ktoś za to dobrze zapłaci. Większość czasu spędzał w otoczeniu, gdzie realizował swoje „zamówienia”. Z Hamburgiem kontaktował się przez Ramona i jego żonę, Frau Mitti. Ramon był człowiekiem starszym od niego o dziesięć lat, jakiejś mieszanej wielokrotnie rasy. On i jego żona zajęli się Wernerem po zniknięciu ojca, może nawet na jego polecenie.

Mieszkali na St. Pauli od zawsze i wiedzieli o tej dzielnicy chyba wszystko.

Oprócz tego zawsze się orientowali, gdzie akurat mieszkał Werner Krawietz. W czasach, kiedy bardzo łatwo namierzyć każdego przez telefon komórkowy, komunikowali się przez nielegalną radiostację krótkofalową, używając modulacji SSBX.

W ten sposób mogli się porozumiewać bez względu na odległość. Zawsze można gdzieś znaleźć jakąś krótkofalówkę, gdzie by to nie było, i za sową opłatą jej użyć. Nikt nie namierzał ani nie podsłuchiwał tak przestarzałych radiostacji.

Werner miał również zwykły telefon komórkowy zarejestrowany na nazwisko Rüdiger Sprotte, którego używał w Hamburgu. „Porządne” nazwisko było mu potrzebne na przykład do zarejestrowania prywatnego helikoptera,

a szczególnie wynajęcia prywatnego lądowiska po drugiej stronie Elby, niedaleko fabryki Airbusa.

Werner patrzył z przyjemnością na błyszczącą w słońcu rzekę. Zawód płatnego zabójcy nie przeszkadzał mu absolutnie w odczuwaniu radości z życia.

Włączył radio, w którym nadawano właśnie poranne wiadomości, i nałożył piankę do golenia na sine od nocnego zarostu policzki.

W tym momencie usłyszał sygnał krótkofalówki, krótki, przerywany bek, niski jak alarm na okręcie podwodnym.

Natychmiast startł piankę i podszedł kilka metrów do „studia”.

- Tak? - powiedział do słuchawki, przyciskając równocześnie włącznik simplexu. Słuchał przez chwilę.

- Ten sam, co parę lat temu?

- ...

- Powiedz Ramonowi, żeby go złapał i zamknął w garażach.

- ...

- Ma klucz!

- ...

- Nie, sam go załatwię, tylko najpierw go przesłucham.

- ...

- I pamiętaj, ma tam nikogo nie być.

- ...

- Tylko on i ja.

- ...

- Wyślę ci na to samo konto co zawsze. *Out.*

Odłożył słuchawkę. To była Frau Mitti, żona Ramona.

Podobno pojawił się znów ten cholerny Polak, detektyw czy dziennikarz, który wysledził jakąś zamierchłą aferę jego ojca. Dziennikarz był bystry i odważny. Wprawdzie mieli go sprzątnąć w Polsce, ale jakoś im się wywinął.

I Frau Mitti rozpoznała go znowu na St. Pauli, a baba miała do twarzy fotograficzną pamięć.

Werner chciał zakłąć, ale ponieważ pracował nad swoim charakterem, nic nie powiedział, tylko uśmiechnął się do siebie.

Wrócił do łazienki i znowu chwycił maszynkę do golenia.

Słońce stało już wyżej i oświetlało wielki czarny kontenerowiec wchodzący do portu.

Werner otworzył okno łazienki. Wiedział, że po przejściu statku fala zachlupocze pod jego minimolem.

Wyłączył radio i nasłuchiwał.

Statek minął jego dom, a po kilkunastu sekundach wzbierający szum nadszedł i fala zachlupotała, odbijając się od belek pomostu.

Odbijała się tak tylko przy przypływie, który, jak pamiętał,

dziś miał być o 10.47.

Spojrzał na zegarek. Była dokładnie 10.47.

Uśmiechnął się zadowolony z siebie. Pamiętał czas przyływu w tym miejscu rzeki na cały miesiąc z góry.

ROZDZIAŁ IV



Krzysztof wjechał do Hamburga o jedenastej. Przejechał tam i z powrotem Budapester Strasse w dzielnicy St. Pauli, po czym zatrzymał się przy stacji S-Bahnu. Wszedł na peron i kupił małą mapkę St. Pauli. Zaznaczono tam urzędy, kina i hotele.

Miał już plan, jak szukać Karola Świdorskiego. Fioletowym mazakiem wyznaczał trasę od hotelu do hotelu, zaczynając od stacji S-Bahn w stronę rzeki.

Sprawdzenie Holiday Inn, Imperial, Superbude, St. Annen i jeszcze dwóch innych zabrało mu godzinę i nie przyniosło rezultatów, dwa razy musiał zawrócić, bo ulica była jednokierunkowa. Potem podjechał do Stella Maris Hotel i przejeżdżając jedną z małych przecznic, zauważył coś takiego, że aż gwizdnął z zadowolenia.

Cofnął kawałek i skręcił w uliczkę. Przed małym, jednopiętrowym domem parkował wielki czerwony mustang

z polskimi tablicami. Parking był ogrodzony łańcuchem z tabliczką „Nur für BLACK PEARL Hotel Gäste”.

Krzysztof zaparkował samochód i wysiadł. Wszedł do budynku po paru schodkach, minął salę restauracyjną i podszedł do panienki w recepcji. Zarezerwował pokój na pierwszym piętrze, z widokiem na parking. Nie próbował nawet pytać recepcjonistki o Świderskiego, postanowił na razie obserwować auto. Kiedy parkował swoją corollę, zajrzał do czerwonego mustanga, ale nie zauważył nic specjalnego.

Dotarł do pokoju i zaraz przysunął fotel do okna, a potem położył na nim poduszkę, żeby wyżej siedzieć. Kliknął włącznik telewizora, żeby coś gadało, i patrzył na auto.

Koło drugiej po południu zszedł na parking, wziął z bagażnika swojej corolli neseser i prawie zderzył się ze Świderskim, który wsiadał do swojego mustanga w towarzystwie jakiejś pięknej i zgrabnej Azjatki.

Świderski był wysokim, szczupłym szatynem i wyglądał na trzydzieści pięć lat. Odjechali zaraz z parkingu, a Krzysztof, wracając do pokoju, wziął z baru kanapkę i kawę. Nie chciał płoszyć Świderskiego, chciał dowiedzieć się czegoś więcej.

Drzwi do dwóch pokoi były otwarte, a wózek ze sprzętem do sprzątnia stał na korytarzu nieopodal.

- Ja tam jadę na święta do Radomska, gadałam już z panem Schulzem, zgodził się... - mówiła po polsku jedna pokojówka do drugiej.

- Przepraszam panie - Krzysztof zajrzał do jednego

z pokoi i uśmiechnął się – szukam tu kumpla. Mieszka w tym hotelu, ale właśnie widziałem, jak jego samochód odjeżdża. Czy ten pokój to jego?

– Taki przystojny pan, z Filipinką?

– Ten sam.

– To koleżanka sprząta jego pokój. Numer dwadzieścia osiem.

– Dziękuję paniom. Chcę im zrobić niespodziankę.

Świdorski wrócił sam na parking po dwóch i pół godzinie. Zaparkował na tym samym miejscu, z którego odjechał.

Krzysztof wgapiał się w mustanga przez następne dwie godziny, na ulicy zapalono już latarnie. Kompletnie nic się nie działo. Na parę minut na ulicy przed parkingiem zatrzymał się tylko niebieski transit z robotnikami w pomarańczowych kombinezonach, którzy wynieśli z hotelu jakąś szafę. Załadowali ją na auto i odjechali.

Krzysztof spojrział na zegarek i postanowił przynieść sobie coś do jedzenia. Wyszedł na korytarz i cicho zaklął.

Drzwi od pokoju numer dwadzieścia osiem były niedomknięte.

Pchnął je i wszedł. W pokoju nie było nikogo, widać było natomiast bałagan, jakby po przeszukaniu. Kris skoczył z powrotem do swojego pokoju i spojrział przez okno. Czerwony mustang stał na swoim miejscu jak przedtem.

Krzysztof pacnął się dłonią w czoło. Musieli wynieść go

w tej szafie do transita. Wściekły myślał – co teraz?

Jest jeszcze szansa!

Wyszedł na korytarz i poszukał kanciapy, gdzie sprzątaczkę mogły trzymać szczotki, mopy i wózki do sprzątanania. Była na końcu korytarza.

Otworzył drzwi i zapalił światło. Zajrzał do szafki w rogu. Znalazł tam to, czego szukał – przepychacz do umywalek z gumową przyssawką zwany potocznie szturglem. Z jednego z plastikowych wiader wyrwał druciany pałak. Zajrzał do szafki z bezpiecznikami i nie zawiódł się. Wziął kombinerki, parę śrubokrętów i wsadził je w kieszeń.

Mustang stał w rogu parkingu. Krzysztof spojrział na wylot ulicy. Paru przechodniów szło kilkadziesiąt metrów od parkingu.

Docisnął gumę szturgla do górnej krawędzi szyby w drzwiach mustanga. Przyssany przetykacz delikatnie pociągnął do siebie. Drzwi samochodu uchyliły się u góry na centymetr od krawędzi dachu. Wyprostował pałak od wiadra i zrobił na jego końcu mały haczyk kombinerkami.

Jeszcze raz odsunął drzwi auta i wsadził przez szparę swój prowizoryczny hak. Zaczepił nim o wewnętrzną klamkę.

Rozległ się cichy szcęk i drzwi auta otworzyły się. Kris rozejrzał się jeszcze raz, wyrzucił „narzędzia”, a potem wyciszył do minimum swój telefon komórkowy. Wsunął się za oparcia przednich foteli i położył na podłodze. Wyciągnął rękę i zatrasnął drzwi auta za sobą.

Obudził go szcęk otwieranych drzwi mustanga. Detektyw przylgnął jeszcze bardziej do podłogi.

Samochód jechał, zatrzymywał się, znowu ruszał, trwało to około godziny. W końcu zatrzymał się całkowicie, a kierowca wysiadł. Rozległ się zgrzyt otwieranej ręcznie bramy. Auto wjechało do środka i bramę zamknęto.

Podjechali znów kilkadziesiąt metrów i zatrzymali się.

Kierowca wysiadł i gdzieś poszedł. Dzwonił do kogoś.

Potem wrócił do auta i nie wyciągając kluczyka ze stacyjki, zatrzasnął drzwi. Jego kroki oddaliły się.

Krzysztof ostrożnie spróbował spojrzeć na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy.

O wpół do drugiej pochylił oparcia i cichutko otworzył auto. Na zewnątrz było kompletnie ciemno. Czuł zaduch jakiegoś długo niewietrzonego pomieszczenia, jakby fabrycznej hali.

Stał dłuższą chwilę, ale wokół było kompletnie cicho.

Włączył telefon i rozejrzał się przy słabym, zielonkawym światełku displaya. Pomieszczenie było niskie i bardzo rozległe. Jakby garaż dla wielu aut.

Oprócz mustanga i sterty starych opon pod ścianą nic tu nie widział.

Wyłączył telefon i po ciemku ruszył w stronę opon. Kiedy wydawało mu się, że są tuż tuż, włączył znowu swój telefon.

Za stertą leżał związany i zakneblowany Karol Świderski.
Nie dawał znaku życia.

ROZDZIAŁ V



Sławomir Kosowski miał już tylko 100 kilometrów do Brukseli. Jego Mercedes 600 rzadko zwalniał poniżej 120 km na godzinę. No, chyba że tuż za znakiem. Dla tych głupków, zachodnich policjantów, jego polski immunitet wysokiego urzędnika nic nie znaczył.

Kolorowa mapka na wyświetlaczu GPS-u zmieniała się błyskawicznie i w końcu wskazała parking przy autostradzie ze stacją benzynową oraz restauracją.

Zaparkował jakieś dwieście metrów od restauracji, to było najbliższe wolne miejsce. Wysiadł i ruszył w stronę knajpy. Minął jakiegoś starego Passata na polskich tablicach. Zażywny kierowca i jego żona, siedząc w aucie, jedli łączywie kanapki, popijając z wielkiej butli Coca Colę.

Skrzywił się z pogardą. Po co tę hołotę puszczają za granicę?

Powinni siedzieć w Polsce i pracować, a co parę lat

głosować na jego partię.

Takie podejście do ludu pracującego miast i wsi wyniósł właściwie jeszcze z domu rodzinnego. Jego rodzice, Antoni i Genowefa Kosowscy, a przed rokiem 1966 Antoni i Genowefa Kośko, należeli do polskiej elity, zwanej wtedy nomenklaturą. Ojciec ojca, czyli dziadzio Stasio, przybył do wolnej Polski ze wschodu i już w 1948 roku był majorem UB.

Często opowiadał małemu Sławkowi o swoich bohaterskich czynach, kiedy bronił Urzędu w kilku miasteczkach nachodzonych wtedy przez bandy NSZ-etu. Mówił, ilu bandytów zabił i ilu jego kolegów zabito. Sławek słuchał go z szeroko otwartymi oczami, a matka Genowefa była zła i wyganiała go spać, bo nie chciała stresować dziecka.

Życie płynęło Kosowskim gładko i bez problemów. W ogólniaku Sławek zakochał się w pięknej Joli Jakubczyk. Niestety ona w nim nie, mało tego, traktowała go z nieukrywaną pogardą. W końcu Jolę relegowano ze szkoły. Za wiersz, który umieściła w gazetce szkolnej. Czytał ten wiersz, ale nic z niego nie rozumiał. Jakieś enigmatyczne, nowoczesne pierdoły, pourywane i połączone bez sensu wyrazy. „Otowa rzyszu, owies ławie”. Ale trudno, jak ją wyrzucili, to widocznie mieli za co.

Kosowscy mieszkali wtedy w pięknym mieszkaniu na Mokotowie, koleżanki i koledzy Sławka pochodzili z tej samej sfery co on, przeważnie ich ojcowie się znali, a z resztą „pospółstwa” z ogólniaka, z tymi, co się buntowali, coś tam

organizowali, się nie zadawał.

To on i jego znajomi byli królami życia, wyjeżdżali do „demoludów” czy na „zachód”, kiedy chcieli i mieli za co.

Czuli się tam dobrze. Mieli zawsze najmodniejsze ciuchy, drogie „longplaye”, a nawet czasem samochody.

Maturę zdał z poślizgiem, bo nie chciał go puścić nauczyciel polskiego, ale nauczyciela przeniesiono. Po roku studiów na UW Sławek wyjechał studiować do Paryża. Nie była to Sorbona, ale takie chodziły o nim pogłoski, a on nigdy ich nie prostował.

Wrócił z Francji jako dwudziestopięcioletni, wybyczony i znudzony życiem młody człowiek. Ojciec zaraz załatwił mu dyplom magistra prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

Wprawdzie musiał zdać dwa egzaminy, ale to była formalność i nie mógł ich nie zdać, tym bardziej że profesor-egzaminator grywał z jego ojcem w brydża, a ojciec mówił wtedy do niego „wujku”.

I tak Sławek rozpoczął urzędniczą „kariere”, która polegała na szybkich awansach i odsuwaniu od siebie wszystkiego, co mogłoby pociągnąć za sobą jakąkolwiek odpowiedzialność.

Sierpień 1980 znał tylko z gazet i odetchnął z ulgą, kiedy generał złapał „ten ludek” za mordę podczas stanu wojennego.

Nic nie przerywało jego bezpiecznej egzystencji, nawet trochę się nudził.

Nadszedł rok 1989. Gorbaczow z Reaganem umówili się na pokładzie lotniskowca kotwiczącego na Morzu Irlandzkim, że trzeba dać dawnym „demoludom” ograniczoną suwerenność, a w ZSRR zrobić tzw. pierestrojkę.

Początkowo całe towarzystwo Kosowskiego trochę się bało, ale generał, który awansował na prezydenta, szybko ich uspokoił. Sławek został szefem rady nadzorczej wielkiej spółki skarbu państwa.

„Ludek” zadowolił się wybranym niby przez siebie premierem i grubymi kłamstwami powtarzanymi przez wszystkie media dwadzieścia cztery godziny na dobę. O tym, że nic się nie zmieniło, Sławek wiedział najlepiej, bo był wewnątrz „systemu” i był w końcu prawnikiem.

Jego koledzy i towarzysze bez żenady poprzemianowywali się na „demokratów”, pozapisywali do różnych partii, których nazwy nic nikomu nie mówiły.

Przełknęli gładko wstąpienie Polski do NATO w roku 1999, mało tego, okazało się, że zawsze o tym marzyli, tylko nic nikomu dotychczas o tym nie mówili.

Rzygać mu się chciało, jak czasem z nimi rozmawiał, ale przetykał dla wygody ich komplementy i fałszywe uśmiechy. Ostatecznie był taki sam jak oni. Zresztą nadszedł rok 2004 i większość jego towarzyszy i innych „działaczy” społecznych z PRL zasiadło w ławach Parlamentu Europejskiego.

Jego ojciec już dawno odsunął się od polityki, tym bardziej kiedy okazało się, że był zamieszany w aferę „Żelazo”.

Wpłynęło wprawdzie jakieś oskarżenie, ale znajomy prokurator powiadomił go o tym telefonicznie i od razu powiedział mu, że wszystko się umorzy.

I wtedy Sławek poznał kobietę swojego życia. Miała 23 lata, była świeżo po studiach prawniczych, a urodą i klasą powalała każdego mężczyznę. Na dokładkę była bardzo podobna do jego młodzieńczej miłości, Joli.

Na imię miała Natalia i skierowano ją na praktykę do jego firmy. Niestety, szybko zorientowała się, w czym on tak naprawdę bierze udział i starała się zachować najdalej idącą niezależność, a w końcu, zniechęcona, odeszła zająć się aplikacją prawniczą.

Był rok 2006 i widywał ją czasem w klubach jazzowych w towarzystwie jakiegoś przystojniaka. Wyglądało na to, że była w nim zakochana. Czuł wtedy w sercu bolesne klucie.

Nagle zorientował się, że w zamyśleniu już dawno wszedł do restauracji i usiadł, a kelnerka stoi nad nim z wyczekującym wyrazem twarzy.

Zamówił befsztyk z sałatą i piwo. Miał zamiar odpocząć tu trochę dłużej.

W pewnej chwili zadzwonił telefon, a na ekranie wyświetliło się imię „Lilka”. Znał ją jeszcze z Polski. Była od niego dużo młodsza, ale on pomógł jej dostać posadę europośla i przyjechał tutaj, żeby się z nią spotkać. Romansowali od dawna, a w łóżku wspominali często dawne czasy i znajomych.

- Gdzie jesteś?

- Jem obiad przy autostradzie. Będę w Nautilusie za dwie godziny.

- Fajnie. Mam wieści dla ciebie. Pójdziemy na dancing?

- Jasne, kochanie. Co tylko chcesz.

- No to „*see you later, alligator*”.

- Pa!

Uśmiechnął się do siebie, napił piwa i zaczął jeść.

Po roku 2008 dostał się do Wysokiego Urzędu i tutaj, po upływie kadencji, postanowił zakończyć swoją zawodową karierę.

I wtedy właśnie znów spotkał Natalię.

Wyglądała niezdrowo, oczy miała zapłakane, schudła. Zaprosił ją na obiad do drogiej restauracji, a ona niespodziewanie się zgodziła. Nie opowiadała mu, co się stało, natomiast on nie nalegał, szczęśliwy, że może przy niej siedzieć. Był dla niej czuły i o nic nie pytał. Spotkali się jeszcze kilka razy. Mówił tylko o niej, o rzeczach banalnych i oczywistych, nie wspomniał nawet, gdzie pracuje. Nie liczył na nic więcej, ale czas płynął i trochę się do siebie przyzwyczaili.

Jakoś przed Sylwestrem 2010 zaprosił ją na bal do drogiej knajpy. Najpierw odmówiła, ale potem zadzwoniła na dwie godziny przed balem i pozwoliła po sobie przyjechać. Bawili się dobrze, ona jakby trochę się zmuszała i chciała o czymś

zapomnieć. Znosił wszystko, wystarczały mu zazdrosne spojrzenia innych, którzy widzieli, że ma taką towarzyszkę.

Po balu wprawdzie nie wylądowali w łóżku, ale u niego w domu, i tam odurzona szampanem zgodziła się spróbować kokainy. Dla niego to była normalka, część każdej imprezy. Potem zasnęła, a kiedy się obudziła, szybko się pożegnała i zniknęła, on zaś wrócił do normalnego życia starego playboya.

I znowu spotkali się gdzieś na ulicy i znowu umówili. Wtedy poprosił ją o rękę. Właściwie nie poprosił, błagał i zgadzał się na wszystko, czego zażąda. Był rok 2014, on po sześćdziesiątce, ona po trzydziestce. Rozwinął przed nią wielkie perspektywy spokojnego, dostatniego życia. Czekał na odpowiedź pół roku i w końcu się pobrali. Ślub odbył się we Włoszech, w bardzo nielicznej kompanii zaufanych znajomych. I tyle.

Sławek czuł się teraz wspaniale, w perspektywie miał spotkanie z urodziwą kobietą, a piękna żona czekała w domu. Wyszedł na zewnątrz, usiadł przy stoliku i wyjął z kieszeni metalowe etui z napisem „Cohiba”. Wyciągnął cygaro, przyciął je kieszonkowym nożykiem i zapalił długą zapalką.

ROZDZIAŁ VI



Krzysztof kucnął przy leżącym Karolu, którego ktoś solidnie skrepował, i po omacku zaczął go uwalniać. W końcu zniecierpliwiony wyjął swój kozik i porzcinał plastry i sznurki. Karol leżał spokojnie, na szczęście jego skóra była ciepła.

W świetle telefonu Karol wyglądał normalnie, ale na razie nie reagował na poklepywanie po policzkach. Krzysztof doszedł do wniosku, że mężczyzna musiał dostać jakiś zastrzyk, pozostało mu więc tylko cierpliwie czekać.

W końcu po jakimś czasie Karol poruszył się i stęknął, na co Krzysztof natychmiast włączył telefon, żeby poświecić. Oczy Karola były otwarte, ale półprzytomne.

- Co się stało? Gdzie ja jestem? - powiedział wreszcie.
- Porwali cię i wywieźli do jakichś nieużywanych garaży w Hamburgu.
- Tak, pamiętam, byłem w Hamburgu. W sprawie Krawca

od afery „Żelazo”. Podobno miał syna i to jemu zostawił brakującą kasę.

- Pamiętasz Black Pearl Hotel?

- Tak - Karol usiadł. - Tam się zatrzymałem. Jacyś tragarze przyszli do mojego pokoju, jeden mnie przytrzymał, a drugi chyba coś mi wstrzyknął. Kim jesteś?

- Detektywem wynajętym przez panią Natalię. Cudem cię tu znalazłem. Mam na imię Krzysztof, ale mów do mnie Kris. Tak jest krócej.

- Okay, Kris. O, mój mustang - zdziwił się Karol. - Kurde, powoli coś zaczynam rozumieć. Ale łeb mnie boli...

- To znaczy, że żyjesz. Niech boli. Musimy pomyśleć, co teraz robić. Co tu w ogóle robisz? W Hamburgu znaczy? Zresztą zaraz mi opowiesz, tylko musimy się przygotować...

- Przygotować? Jak i po co?

- Jakby cię chcieli sprzątnąć, dawno już byś nie żył. Schowali cię tutaj, bo ktoś chce z tobą pogadać. I potem dopiero cię zabije.

- To co mam robić?

- Połóż się tak, jak leżałeś przedtem, a ja cię ucharakteryzuję.

Karol położył się na oponach mniej więcej tak, jak wcześniej, Krzysztof natomiast skrępował go luźno i przykleił taśmę tak, żeby wszystko „dobrze” wyglądało.

- No, to słucham - powiedział.

- Kiedy w Polsce zrobiło się trochę luźniej, znaczy na początku lat dziewięćdziesiątych, miała miejsce afera „Żelazo”. Niby ją rozwiązyali, ale w bilansie brakowało około czterech milionów dolarów.

- Coś słyszałem. Nasi polscy szpiedzy zatrudniali się w gangach na Zachodzie i rabowali, ile wlezie, w Niemczech, Austrii i we Francji. Potem niby przekazywali łupy do Polski, ale sporo pieniędzy zginęło, a wielu z nich zostało za granicą. To tyle, co wyczytałem w internecie.

- Mniej więcej tak było. Ale wpadłem na trop jednego, najbystrzejszego, który osiadł tutaj, w Hamburgu. Z nim zaginęła większa gotówka. I właśnie wtedy dogrzebałem się do pewnych informacji na ten temat.

- To znaczy?

- Że mieszkał w Hamburgu, związał się z jakąś Niemką i miał syna. Jego żona parę lat później zginęła w wypadku samochodowym. Natomiast on i dziecko zapadli się pod ziemię. Ślad po nich zaginął. I myślę, że kasa zaginęła razem z synem. Wróciłem do Polski, do Natalii, i zaraz zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Ktoś mi uszkodził hamulce w samochodzie. Kiedyś wracałem nocą do domu i jakieś auto chciało mnie przejechać. Zawracało dwa razy, aż w końcu przeskoczyłem przez płot czyjś ogrodu. Bałem się o Natalię, nic jej nie mówiłem i wyjechałem do USA. Miałem tam rodzinę. Wróciłem dopiero w styczniu dwa tysiące szesnastego roku. Natalia wyszła w międzyczasie za mąż, ale dalej chciała być ze mną i obiecała, że wszystko odkręci.

Uznałem, że już jest bezpieczniej, i postanowiłem zakończyć sprawę sprzed lat...

- Pożyczyłeś więc mustanga od Natalii i przyjechałeś tutaj. I do czego doszedłeś?

- Kręcąc się po St. Pauli, dowiedziałem się, że ktoś gdzieś kiedyś widział syna Krawca, że miał tu narzeczoną z Filipin. Dowiedziałem się tego od jej siostry. Zaprosiłem ją do hotelu, żeby pogadać, i pojechaliśmy razem tam, gdzie mieszkała jej siostra. Ale nie zdążyłem z narzeczoną pogadać, bo musiała wyjść, wróciłem więc do hotelu i ciąg dalszy znasz, porwali mnie...

W tym momencie rozległ się zgrzyt bramy. Krzysztof wyłączył telefon i schował się za najbliższym filarem, a Karol ułożył się w pozycji wyjściowej.

Silne światła samochodowych reflektorów zalały kupę opon pod ścianą i leżącego na niej Karola.

Auto podjechało na dziesięć metrów do ściany, a kierowca wysiadł i nie gasząc silnika ani świateł, poszedł przymknąć bramę. Wrócił po chwili.

Krzysztof widział go z odległości 2-3 metrów. Był wysoki, barczysty i szczupły, Kris dostrzegał wyraźnie tylko jego jasny płaszcz i kapelusz.

Mężczyzna wyjął z kieszeni pistolet i szturchnął stopą Karola. Ten otworzył oczy i patrzył na niego, mrużąc oczy oślepiiony światłami samochodu.

- Kto ty jesteś i czego tu szukasz? - polszczyzna

mężczyzny była prawie bez zarzutu.

- Niech pan mnie rozwiąże. Jestem dziennikarzem, szukam materiału do gazety.

- Dobgha. Ghrozpoznali cię na ulicy, byłeś już tu kilka lat temu. Wypytywałeś o ghróżne rzeczy. Kogo szukasz i po co?

- To taka stara sprawa. Polska wysyłała agentów wywiadu do różnych państw na Zachodzie, a oni zostawali gangsterami, rabowali, mordowali, chciałem napisać coś ciekawego na ten temat...

- Kłamiesz. Po co teghaz tu przyjechałeś?

- W tej samej sprawie. Ale nic się nie dowiedziałem i chciałbym wrócić do domu, do Polski...

- W takiej staghej spghhawie przyjechałeś? Tamtej spghawy już nie ma, a Zenon Kghawiec nie żyje. Ale ty już nikomu o tym nie powiesz...

Stopa Krzysztofa jak młot uderzyła od dołu w dłoń z pistoletem. Broń jak pocisk walnęła w sufit garażu. Krzysztof obrócił mężczyznę przodem do auta i oślepionego reflektorami uderzył kantem dłoni w kark. Facet osunął się na ziemię.

- Szybko, pomóż mi go skrupować i wiejemy stąd! - krzyknął do Karola.

W ciągu minuty SUV bandyty i mustang Karola mknęły pustymi o piątej rano ulicami Hamburga w stronę rzeki. Zaparkowali SUV-a w małej uliczce, Krzysztof przesiadł się

do mustanga i w ciągu piętnastu minut byli w Black Pearl Hotel. Zapłacili o tej niezwyklej porze za hotel i po kilku godzinach „wyścigu z diabłem” mustanga i corolli usiedli przy smakowicie pachnącej jajecznicy i kawie w maleńkim przydrożnym barze, już po polskiej stronie, niedaleko Szczecina.

Wtedy Krzysztof wyjął z kieszeni mały portfel. Były tam dokumenty auta i prawo jazdy wystawione na nazwisko Rüdiger Sprotte.

Z drugiej kieszeni wyjął pistolet Rüdigera.

ROZDZIAŁ VII



Sławomir Kosowski leżał w szerokim łóżu hotelu Nautilus. Rozkoszował się wypoczynkiem po długiej jeździe z Warszawy. Okno było uchylone i słońce odbijało się w błyszczącej politurze komody naprzeciw łóżka.

Tak, ma się to życie, jak należy. I tak powinno być. Rządzeniem powinni się zajmować ludzie przygotowani do tego od pokoleń. Znający świat, języki, mający odpowiedni wygląd i maniery. Przypomniiał sobie dwustustronicowy skrypt wydany przez Wyższą Szkołę Nauk Politycznych przy KC PZPR pod tytułem *Protokół Dyplomatyczny*. Przeczytał go jako nastolatek, a znalazł w regale ojca. Wprawdzie o tym, że nóż trzyma się w prawej ręce, a widelec w lewej, wiedział już przedtem, natomiast takie szczegóły jak termin, w którym dyplomata może przyjąć zaproszenie na raut lub je odrzucić, były czymś, o czym nigdy przedtem nie słyszał.

Zresztą w towarzystwie, w jakim się obracał, wszyscy byli

ze sobą na „ty” i pomimo wieku zachowywali się czasem jak nastolatki.

W ciągu ostatnich paru miesięcy cała jego klika zaczęła mieć problemy. Niespodziewanie wybory prezydenckie i parlamentarne wygrała pogardzana i poniewierana przez ostatnie kilka lat partia „frajerów”.

Nikt z jego towarzystwa się tego nie spodziewał, to było nie do wiary. Ale faktom nie dało się zaprzeczyć. „Mały”, który był szefem zwycięskiej partii „frajerów”, nie dość, że wygrał prawie wszystko, co było do wygrania, to ośmielił się wprowadzać z sukcesem wyborcze obietnice, których przecież jak dotychczas żadna zwycięska partia nie traktowała poważnie.

Poparcie miał coraz większe i wszyscy dotychczasowi „właściciele Polski”, jeśli mieli we łbach trochę oleju, musieli w głębi ducha przyznać, że „Mały” był geniuszem strategii i taktyki politycznej. Zazdrościli mu tego i coraz bardziej go nienawidzili.

Cała „elita” nie przyznawała się do tego, ale strach ją obleciał, bo nikt nie był w stanie przewidzieć następnego kroku „Małego”. Partie i partyjki opozycyjne gasły w oczach, a ich rankingi leciały w dół na łeb na szyję.

Nie pomagało wsparcie EU, opanowanej w większości przez socjalistyczno-liberalne partie, ani nawet potężne pieniądze „sponsorów”, właścicieli ogromnych koncernów, którzy chcieli porządzić w Europie wschodniej z tylnego siedzenia. Zanosilo się na kilka kadencji partii „Małego”,

a nie wolno było do tego dopuścić. Za żadną cenę.

Tym bardziej, że za przykładem Polski coraz więcej zakompleksionych demoludów podnosiło głowy i chciało rządzić u siebie po swojemu. Należało coś zrobić jeszcze przed wyborami do PE.

Brexit dobił zupełnie europejską nomenklaturę, ktoś w końcu odważył się olać europejskie wygody za cenę niezależności i wolności.

I tak w ciągu kilku miesięcy po wyborach w Polsce zaistniało jawne porozumienie między polskimi „elitami” a europejską większością.

Kosowski znaczył dużo, ale nie aż tyle, żeby znać i rozumieć nadchodzące plany i osoby, które o tym decydowały. Ale wystarczała mu rola kuriera wysokiego szczebla. Brał udział w spotkaniach z wysłannikami głów sprzysiężenia, jak ich w myślach nazywał, i nie miał większych trudności, żeby domyślać się, kto, co i dlaczego. Czemu wzięli do tej roboty właśnie jego?

Był pewny politycznie, należał do „elity” już w trzecim pokoleniu, no i znał perfekcyjnie francuski. W każdym razie w tym języku właściwie myślał. I to mu wystarczało, żeby zaspokoić poczucie własnej ważności.

Zmęczony podróżą i złymi myślami, przewrócił się na drugi bok i zasnął.

Po półgodzinie niezamknięte na klucz drzwi uchyliły się i do pokoju weszła kobieta. Miała z metr osiemdziesiąt

wzrostu, była zgrabna i szczupła, a spod jasnej, ciężkiej grzywy zerknęła niebieskimi, bystrymi, wesołymi oczami.

Przekręciła zamek w drzwiach, zrzuciła z siebie bluzkę i spódnicę, pod spodem nie miała nic. Szpilki zdjęte z nóg kopnęła z impetem aż pod okno i wsunęła się pod kołdrę.

Sławek był półprzytomny, ale poznał jej perfumy i przygarnął ją do siebie.

-Dzisiaj wieczorem ma być? - spytał z niedowierzaniem Sławek, paląc swoją Cohibę.

- Tak. Ma przybyć tu koło dziewiątej wieczór. Nie przejmuj się, wyniosę się na godzinę na basen. Mają tu chyba basen?

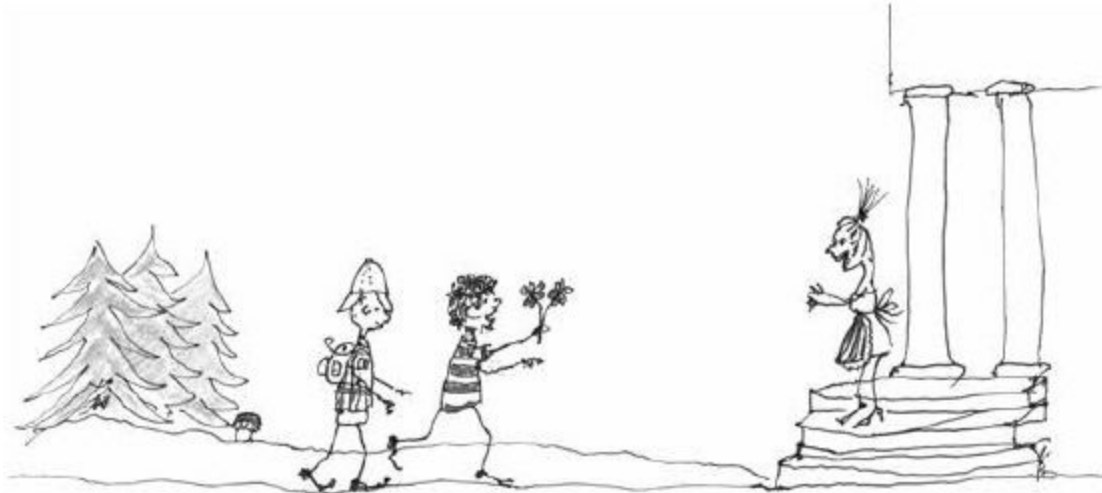
- Jasne, że mają. Sam Schmit ma być?

- Osobiście mi tego nie mówił. Jak zwykle powiedział mi o tym jego asystent. Zadzwoń, jak się wyniesie. Wracasz rano do Warszawy?

- Niestety tak. Zostałbym z tobą nawet miesiąc, ale w Warszawie powiedzieli, że mam wracać natychmiast. Podobno trzeba się śpieszyć.

- Więc nie marnujmy czasu - przytuliła go i pocałowała.

ROZDZIAŁ VIII



-No, to teraz muszę cię dostarczyć do Natalii. Mamy niezły czas. Jej mąż wraca dopiero za siedem dni - powiedział Krzysztof, dopijając kawę.

- To wiesz o jej mężu? Jak ci płaci od godziny, to dużo nie zarobiłeś...

- Tak, niewiele, to moja najgorsza wada. Niecierpliwość. Z niczym nie potrafię czekać, wiele razy drogo mnie to kosztowało.

- Wiesz co? Mam świetny pomysł. Zrobimy jej niespodziankę. Pojedziemy do Warszawy razem, odstawimy auto i złożymy jej wizytę.

Krzysztof przez chwilę się zastanawiał.

- Okay, ale najpierw zadzwonię do żony i do mojego biura, że wszystko jest w porządku. Żeby się o mnie nie martwili.

- Dobra. Zrób mi w takim razie tę przyjemność i pozwól, że sam zadzwonię do Natalii. Powiem jej tylko, że żyję, jestem bezpieczny i nie rozbiłem mustanga.

- No to do dzieła!

Rozmawiali przez chwilę przez swoje telefony.

- Natalia jest w tej chwili w Tężajnach. To na Mazurach, niedaleko jeziora Wigry. Więc jedziemy do Warszawy, a potem twoim autem do Tężajn. Pasuje?

- Jasne.

W eleganckiej dzielnicy Warszawy wszystko wyglądało jak w amerykańskim filmie. Bloki dwupiętrowe z penthousami, ogrodzone, ze spacerującą po trawnikach ochroną, a na każde trzy budynki przypadał kryty basen.

Wjechali pod blok, otwierając szlabanik pilotem doczepionym przy kluczykach mustanga. Karol pewnie skręcił w lewo do ogrodzonej siatką części podziemnego garażu. Była ona podzielona szeroką, białą linią na cztery rzędy po pięć pól, każde wielkości dużego samochodu. W samym rogu placu stała wielka, rosyjska, czarna Czajka, zajmująca półtora miejsca. To było w zasadzie jedyne auto, które Krzysztof rozpoznał.

Podszedł do niego, żeby zobaczyć je z bliska.

- To Czajka, ale zobacz ten tutaj - Karol stanął koło czerwonego, odkrytego auta o przedwojennej linii - to Bugatti z tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku. Już wtedy ciągnął ponad sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Albo ten tutaj, Mercedes z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego. Wyścigowy Grand Prix tysiąc dziewięćset dwadzieścia trzy.

- Widzę, że jesteś specem od takich aut.

- Specem-teoretykiem. Stać mnie teraz tylko na ośmioletnie Audi. To, co tu widzisz, to jedyna zaleta męża Natalii. Za to go lubię. Ma forszę, to zbiera i utrzymuje tę stajnię. Ale patrz tutaj. To prawdziwy skarb. CWS model T-1 z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego. Całkowicie polska konstrukcja. Silnik trzylitrowy. Zbudowano ich tylko osiemset i nie wiadomo, dlaczego zaprzestano produkcji. Rozbiera się go jednym kluczem. Siedemnastką. Wart fortunę.

Auto rzeczywiście było imponujące, duże, bez dachu, z ulową chłodnicą, błotnikami, które łączyły progi, i potężnymi reflektorami.

- Zobaczysz w Tężajnach. Tam stoją amerykany Kosowskiego. Tam to każdemu szczęka opada.

- Daleko tam?

- Koło trzystu kilosów. Ale drogi są tam różne. Cztery - pięć godzin.

- Mamy teraz drugą. Jedziemy, marzę o łóżku w hotelu

w Tężajnach. Jest tam w ogóle jakiś hotel?

- Jest jeden elegancki i dwa mniejsze. Zamówimy przez telefon po drodze. Mam numer zapisany w telefonie, na szczęście.

- No to *let's go!*

Karol zamknął mustanga, zasunął i zatrzasnął drzwi do garażu i po chwili mknęli już obaj corollą na północny wschód.

Jadąc całkiem niezłymi drogami, mijali kolorowe miasteczka z odmalowanymi starówkami i ryneczkami, z kościołem albo ratuszem w centrum miasta, bogate wsie, gdzie na podwórzach prężyły się ogromne, kolorowe maszyny o nieznanym im przeznaczeniu. Karol bez problemu zarezerwował przez telefon dwa pokoje w hotelu Kormoran. Nie zatrzymywali się nigdzie, postanowili zjeść coś porządnego dopiero w Tężajnach w towarzystwie Natalii.

Przejechali obok tablicy z napisem „Tężajny”, minęli kilkanaście wiejskich domów i wjechali w piękny bukowy las. Skręcili w lewo i po pięciu minutach zatrzymali się przed stylową kutą bramą.

Karol wysiadł i podszedł do mikrofonu.

- Puk, puk. To ja, Karol!

Po chwili głośnik zadźwięczał damskim głosem

- No tak. Czułam, że to będzie niespodzianka. Wjeżdżaj.

Wrota bezszelestnie otworzyły się na oścież. Jechali

jeszcze kilkaset metrów, objechali okrągły klomb z czerwonymi różami, aż wreszcie zatrzymali się przed kamiennymi schodkami podpartego czterema kolumnami ganku.

Przed otwartymi drzwiami stała Natalia. Włosy miała zaczesane „na marchewkę”, a jej biodra opinał fartuszek w niebieskie paski.

Najpierw rzuciła się na szyję Karolowi, potem podała dłoń Krzysztofowi, mówiąc:

- Dobrze, że trafiłam na dobrego detektywa. Nie spodziewałam się, że pracuje pan w takim tempie.

- Robię, co mogę - Krzysztof spuścił skromnie oczy. - Kluczyki do mustanga odda pani Karol.

- Panowie, bardzo się cieszę, że będziecie moimi gośćmi. Zrobię na kolację coś pysznego! - „zaśpiewała” Natalia, parodiując jakąś arię.

- Mamy zamówione pokoje w hotelu Kormoran... - bąknął Karol.

- Nie zapraszam was na noc. Nie chcę plotek. Ale kolację musimy zjeść razem.

- Natalio, mogę Krzyśkowi pokazać samochodziarnię twojego męża?

- Proszę bardzo. Potrzebuję pół godziny, żeby się przebrać.

Jak na warszawskim parkingu Kosowskiego stała

reprezentacyjna rosyjska czajka, tak tutaj w rogu prężył się długi jak autobus, wielki, czarny cadillac. Miał po cztery okna z każdej strony, ale tylko czworo drzwi. Potężna kratownica chłodnicy i potrójne reflektory sprawiały wrażenie potęgi i nieugiętości. Krzysztof miał wrażenie, że gdzieś już kiedyś widział to auto, ale sam do siebie zaśmiał się na tę myśl. Jego klasa to najwyżej dwuletnia corolla.

Tutaj, jak mu wyjaśnił zaraz Karol, najstarszy był lincoln z nadwoziem *conduite* z 1924 roku. Obok niego stał ciemnozielony, sześciocyndrowy chevrolet 6 z roku 1926.

Krzysztofowi już zaczęły się mylić te wspaniałe auta, ale słuchał i zastanawiał się, który z nich chciałby mieć na własność. Plymoutha, dodge'a czy lincolna?

Ostatecznie „wybrał” sobie wiśniowego packarda 734 z roku 1930. Ale ten granatowy duessenberg z nadwoziem torpedo też był super...

Natalia zeszła do nich ubrana w wieczorową, bordową suknię. W uszach miała kolczyki – wielkie, srebrne kółka. Wyglądała olśniewająco i chyba to przez obecność Karola promieniowała szczęściem.

- Panie Krzysztofie, pan pozwoli ze mną, przede wszystkim musimy się rozliczyć.

Krzysztof dostał, co mu się należało, plus pięć tysięcy złotych premii. A kiedy zeszli do salonu, zastali stół nakryty białym obrusem z zastawą dla trzech osób. Jedzenie i wina stały w stylowych porcelanach i rżniętych kryształach.

Kolacja upłynęła w świetnej atmosferze, wszyscy troje byli we wspaniałych humorach. Koło jedenastej wieczór panowie wsiedli do samochodu i po 15 minutach zaparkowali przed hotelem z sosnowych bali, nad którego wejściem wisiała decha ze stylizowanym napisem „Kormoran”.

W środku hotel wyglądał tak, jak zwykle wyglądają tego typu miejsca, wygodny i dość luksusowy. No, może różnił go od innych docierający wszędzie aromat rozgrzanych słońcem sosen.

Ich pokoje sąsiadowały ze sobą i kiedy Krzysztof zasypiał, przysięgłby, że słyszy otwieranie sąsiednich drzwi i śmiech Natalii.

ROZDZIAŁ IX



Sławomir Kosowski przekraczał niemiecko-polską granicę i myślał, że to całe Schengen to fajny pomysł. Nie trzeba nawet zwalniać na granicach państw. Była to jedyna pogodniejsza myśl od czasu, kiedy opuścił Brukselę. Rozmowa ze Schmitem nim wstrząsnęła. Od samej Brukseli jechał ponury i zacięty. Był tylko kurierem wysokiego szczebla, ale jednak miał trochę skrupułów.

Schmit stanął o dziewiątej wieczór w drzwiach pokoju i zażądał, żeby zejść do jego samochodu i tam przeprowadzić rozmowę, bo nie ma zaufania do hoteli. Nawet w swoim prywatnym Bentleyu wypowiadał się cicho i jednocześnie prowadził auto - na wszelki wypadek. Używał francuskiego i czasami Sławomir wątpił w swój własny francuski,

słuchając tego, co mówił Schmit.

Ale sens był zrozumiały i jednoznaczny. Mają zrobić wszystko, żeby odsunąć prezydenta i zwycięską partię „frajerów” od władzy. I to w ciągu miesiąca, który pozostał do szczytu NATO w Warszawie. Nie wchodzi w zasadzie w grę nic innego, tylko zamach. Oni nie namawiają, oni dają zielone światło.

- Macie jeszcze na szczęście swoich ludzi w służbach, jak to załatwicie, nie wiem, ale za pieniądze można wszystko. Jeśli wasze służby są na to za słabe, zorganizujcie kogoś z zewnątrz. To wszystko - Schmit zaparkował pod hotelem.

- Aha, masz tutaj pendrive'a, którego przekażesz tam, gdzie zwykle. Jest na nim to samo, co mówiłem, tylko po polsku. Twój szef nie zna języków! - rzucił z pogardą. - A ciebie na pewno wezwie, żebyś potwierdził to, co jest na pendrivie.

Sławomir był ponury przez całą noc, nawet Liliana go nie rozweseliła, a rano wsiadł do auta i ruszył z kopyta do Warszawy.

Radio w aucie miał ustawione na Warszawę Jeden na falach długich 225 kiloherców obejmującą zasięgiem prawie całą Europę, lubił słuchać polskiego radia podczas swoich europejskich podróży.

Radio zapewniało słuchaczy, że szczyt NATO jest bezpieczny i że wszystko już przewidziano. Nic nie ma prawa się wydarzyć, pomimo fali zamachów terrorystycznych

w zachodniej Europie. Obiecywał to sam minister spraw wewnętrznych.

Sławomir pamiętał naiwną twarz ministra i uśmiechnął się do siebie gorzko.

- Za dużo gadasz, pajacu. To wszystko tylko ci się zdaje.

Sławomir nie miał żadnych zasad moralnych, a już na pewno żadnych patriotycznych. Był przekonany, że prędzej czy później Polska zostanie włączona do Niemiec i nie miał nic przeciwko temu. Sprawa będzie trwała dziesięciolecia, Polaczki nawet nie zauważą, że ich dzieci coraz częściej mówią po niemiecku, a z wnukami w ogóle nie będą się umieli już porozumieć.

Wzruszył ramionami. Lepsze to niż ruska okupacja. Jemu krzywda się nie stanie. Przeniósł się myślami do Natalii. Czeka na niego tak, jak się umówili, to pewne. Może pogadać z nią o rozmowie ze Schmitem?

Nie, ona jest naiwna i patriotyczna jak dziecko. Lepiej pójda do teatru albo kina, albo najlepiej pojedą do Sopotu. Może polecą samolotem? Nie, jest na to zbyt leniwy. Pojadą łódzką autostradą A1. Tylko trzeba do Natalii zadzwonić, żeby zamówiła pokój w Grandzie albo w Sheratonie. Niedługo wakacje i w Sopocie może zrobić się ciasno.

Radio dalej chwaliło obecną władzę i zapewniało o stuprocentowym bezpieczeństwie władz i obywateli.

Skręcił na stację benzynową, napełnił bak i zaparkował pod restauracją. Było ciepło i słonecznie, zajął więc stolik na

zewnątrz.

Kelnerka widziała chyba, jakim samochodem podjechał, bo zjawiała się natychmiast.

Sławomir przejrzał menu. Każde danie było sfotografowane i wiedział doskonale, że smakuje jeszcze lepiej niż wygląda, niemieckie czy francuskie jedzenie na pewno polskiemu nie dorównuje.

Zamówił potężny befsztyk z sałatą i dwa piwa Żubr. Tu na szczęście jego immunitet działał i żaden krawężnik nie miał prawa go skontrolować.

- Aha, ten telefon do Natalii... - wybrał w telefonie kontakt z jej imieniem.

Upłynęła chwila, zanim się odezwała.

- Kochanie, może byśmy pojechali na weekend do Sopotu?

- ...

- Jaką sprawę? Dobrze, załatwimy twoją tajemniczą sprawę w Sopocie. Zamów pokój w Grandzie albo Sheratonie.

- ...

- Jakie twoje stare zdjęcia? Albo są w komputerze, albo na jakimś pendrivie. Nie przejmuj się, nie zginęły na pewno. Pa, kochanie.

Kelnerka właśnie postawiła przed nim ogromny, eliptyczny talerz z co najmniej półkilowym befsztykiem i zimny kufel piwa.

Sławomir Kosowski schylił się nad talerzem i pograżył w miłych myślach o najbliższym weekendzie.

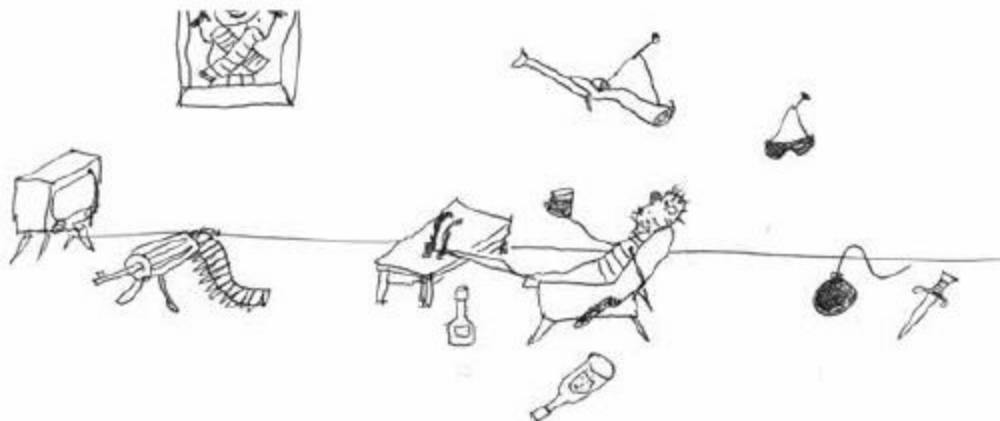
Nie zauważył forda mondeo, który jechał za nim już z Polski do Brukseli, a teraz zaparkował parę metrów od jego mercedesa. Kierowca też zatankował po korek, a teraz ogromnymi kęsami pochłaniał jeden z dwóch burgerów, które kupił w pobliskim McDonalddie.

Kiedy zjadł, popił wodą sodową i cyknął jeszcze jedno zdjęcie Sławomirowi Kosowskiemu, który ze smakiem kończył swój posiłek.

Po paru minutach mercedes ruszył w dalszą drogę. Ford odczekał chwilę i pojechał za nim.

Kierowca nazywał się Maciek, miał rudą brodę i był oficerem ABW. To on zwrócił uwagę na tego polityka, więc jego przełożony to jemu zlecił zbadanie „sprawy Kosowskiego”. Bo jego śledztwo stało się od razu „sprawą Kosowskiego”.

ROZDZIAŁ X



Werner Krawietz vel Rüdiger Sprotte siedział w domu i myślał. Prawdę mówiąc, był na siebie wściekły. Wściekły od chwili, kiedy wrócił do przytomności w garażu i przypomniał sobie, co się stało. Najgorsze, że nie miał nawet pomysłu, kto i dlaczego tak go załatwił. Część winy ponosił Ramon, bo powinien przetrzepać kieszenie dziennikarza już w hotelu, a znalazłszy kluczyki do auta, natychmiast zabrać samochód z parkingu. Ramon znalazł klucze dopiero w garażach i musiał jechać po auto parę godzin później.

Krawietz wyszedł więc rano z garaży, zamknął za sobą bramę i pół godziny musiał iść przez opustoszałe miasto, zanim złapał taksówkę. W domu wykąpał się i ogolił, a potem siedział nad szklaneczką whisky od piątej rano.

On, najsprawniejszy płatny zabójca w Europie, dał się

podejść jak dziecko. Ten, kto go załatwił, był lepszy od niego. Taki wniosek nasuwał się sam. Najgorsze, co Krawietz teraz mógł zrobić, to zacząć szukać tego faceta, żeby się zemścić.

Prawo jazdy było na fałszywe nazwisko Sprotte, adres fikcyjny, samochód policja znajdzie bardzo szybko. Takie charakterystyczne auta jak jego SUV nie ginęły, bo ciężko je było sprzedać.

Tylko wstyd przed samym sobą. No cóż, w końcu zapomni. Chociaż właściwie mógł założyć, że ten gość, który szukał dziennikarza, nie był stąd, wtedy pewnie wynajął pokój w hotelu. Może w tym samym sam, co ten dziennikarz?

No cóż. Należy teraz załatwić sobie dokumenty na inne fałszywe nazwisko i adres. Hamburg to duże miasto, niełatwo jest kogoś znaleźć.

Ale tamten jednak mnie znalazł...

W tym momencie zadzwonił telefon, który Krawietz również miał zarejestrowany na nazwisko Sprotte.

- *Ja?*

- Pan Sprotte? - głos w telefonie mówił po polsku.

Krawietz przez chwilę nie odpowiadał, bo nie wiedział, czy przyznać się, że umie mówić po polsku, czy też rznąć głupa, że to pomyłka.

- Tak Sprhotte, słucham pana?

- Panie Sprotte, a właściwie panie Krawietz, dzwonię z Polski, pracowałem kiedyś w polskim wywiadzie,

zatrudniałem jeszcze pana ojca, Zenona Krawca, wiem o panu wszystko.

- Co pan wie?

- Że jest pan jednym z najlepszych płatnych zabójców w Europie, gdzie pan mieszka, kogo, kiedy i gdzie pan zabił, wszystko. Jak to szpieg. Jesteśmy lepsi od BND i niemieckiej policji. Skoro do tej pory pana nie sypnąłem, to nie sypnę. No, chyba że byśmy się nie dogadali...

Krew odplynęła Krawtzowi do nóg, zbladł, przez chwilę nie mógł mówić.

- Czego pan chce?

- Widzę, że się dogadamy. Sprawa jeszcze nie jest pewna, ale postaram się, żeby dostał pan zlecenie na zabicie kogoś w Polsce. Będę jednym ze zleceniodawców. Postaram się, żeby sprawa trafiła do pana.

- I co dalej?

- Zażąda pan za to zlecenie dziesięciu milionów euro...

- Kughde, co to za zlecenie? Takiej foghsy nigdy nie bghałem...

- Zobaczysz. W każdym razie, jak do tego dojdzie, zgodzisz się i zadanie wykonasz perfekcyjnie. Ale połowa pieniędzy będzie dla mnie. I nie próbuj mnie oszukać, wiem o tobie wszystko - rozmówca niespodziewanie przeszedł z Krawtzem na „ty”.

Krawietz był zmieszany i przerażony, ale kiedy

wspomniano sumę, którą miał zarobić, zwiertzył krew i zamienił się w wilka. Co by nie było, musi mieć tę forszę.

- Dobrze. Zgadza się, niech pan załatwi to tak, żebym dostał tę grobotę.

- Masz to prawie jak w banku. Jeszcze tylko trzeba załatwić parę szczegółów.

Dostaniesz połowę! - pomyślał Krawietz i wykonał gest powszechnie uważany za obraźliwy.

- Jesteśmy umówieni. Aha, jak chcesz, możemy się komunikować przez radiostację krótkofalową. Masz takie urządzenie, nie?

- Mam - warknął Krawietz. - Żegnam.

Wypił jeszcze jedną szklaneczkę whisky i w końcu zasnął.

ROZDZIAŁ XI



Krzysztof siedział przy swoim biurku i czytał gazetę. Oboje z Kasią byli w dobrych humorach, bo Kasia dostała zaległą pensję, a Krzysztof spłacił wszystkie zaległości. Z ich obliczeń wynikało, że jedna czy dwie proste sprawy miesięcznie i ich wydatki zbilansują się z dochodami, a wtedy będą mogli spokojnie myśleć o przyszłości.

Przerzucił stronę gazety z mało ciekawą reklamą i napił się stygnącej kawy.

- Kasiu, przejrzałaś maile, które przyszły ostatnio?
- Codziennie przeglądam, coś tam się szykuje, chyba jakaś zazdrosna pani chce trochę poszpiegować męża, ale jeszcze się nie zdecydowała.
- Nie nalegaj, musi sama podjąć decyzję.

- Jasne. Przeczytałeś gazetę? Muszę coś sprawdzić.

W tym momencie drzwi biura się otworzyły i stanęła w nich Natalia.

- To pani? Czy narzeczony znowu się zgubił?

- Nie, jest tu, w Gdyni, ze mną. Umówiliśmy się u pana w biurze za kilka minut.

- Więc co się stało? Kasiu, zrobisz kawę dla gości?

Natalia była piękna jak zwykle, ale bardzo poważna.

- Przyszłam do pana, bo właściwie nie wiem, co robić. W ogóle nie wiem też, czy będzie chciał się pan tym zająć, bo mam wiele wątpliwości. Ale ostatnim razem okazało się, że działa pan bardzo skutecznie i nawet, jeśli nie będzie pan chciał sam się tym zająć, to skieruje mnie pan do kogoś, kto będzie chciał...

- Robi coraz ciekawiej. Zaczniemy od początku...

- Właśnie. Od początku będzie najlepiej. Otóż przedwczoraj przyjechałam do Sopotu z mężem. Powiedziałam mu, że dłużej nie chcę z nim być.

- No i jak to przyjął?

- Spokojniej niż myślałam. Chyba nigdy nie wierzył w to, że będę z nim na zawsze. Po prostu poprosił, żebym została z nim w ten weekend w Sopocie, a potem on wróci do domu, do Warszawy, a ja zrobię, co będę chciała.

- No, to gratuluję, że poszło tak gładko.

- Wie pan, wydawało mi się, że moje odejście nie zrobiło na Sławku wrażenia, bo wrócił z tej podróży jakiś przygnębiony czy raczej załamany. Załamany czymś, przy czym moje odejście jest mało ważne. Odpowiadało mi to i nie pytałam, co się stało. Ale przypadkiem, przez pomyłkę, wzięłam z jego teczki pendrive'a... Myślałam, że to moje prywatne zdjęcia, których nie chciałam mu zostawiać. Właśnie...

- Czyli wzięła pani tego pendrive'a bez jego zgody, w tajemnicy?

- Absolutnie nie. Spytałam go o te zdjęcia, a on powiedział: „Zobacz, są na pendrivie w teczce”. Były tam trzy identyczne pendrive'y i ja wzięłam właśnie ten...

- I co dalej? Co pani tam znalazła?

- Tekst, który nie był skierowany do Sławka, najwyraźniej to wiadomość do kogoś ważniejszego, wie pan, do kogoś znanego z polityki. I tam jest napisane, że ten ktoś ma zgodę, aprobatę i pomoc, jeżeli chodzi o dokonanie zamachu na naszego prezydenta. Tak wynika z tekstu, choć nie ma imion i nazwisk...

- Ma pani ten tekst?

- Tak, zgrałam go na dysk swojego laptopa. O, tutaj...

Wyjęła z pokrowca miniaturową Toshiba.

- Ma pan na co to zgrać?

- Coś się znajdzie.

Natalia położyła komputer na biurku Krzysztofa, włączyła go i wpisała króciutkie hasło.

Krzysztof skopiował pliki na swojego pendrive'a i sprawdził, czy tekst da się odczytać.

W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie, a do biura wkroczył Karol, robiąc zamieszanie i hałas. Przywitał się serdecznie z Krzysztofem i Kasią.

- No i co ty na to? Natalia pokazała ci ten plan?

- Tak, ale jeszcze nie czytałem.

- Człowieku, to zamach! Podejrzywałem jej męża, co nieco czytałem na jego temat, ale nie spodziewałem się, że to aż taka poważna sprawa. W ogóle przepraszam, że przychodzimy do ciebie z czymś takim, ale przeczytałem to godzinę temu i trochę spanikowałem, a że jesteśmy akurat na wybrzeżu i ty jesteś taki bystry i pracujesz szybko, więc pomyślałem...

- Dobrze zrobiłeś - Krzysztof zwietrzył krew. - Tylko nie wiem, kto mi za to zapłaci. Jeśli uda mi się czegoś dowiedzieć, ma się rozumieć...

- Wie pan, o koszty proszę się nie martwić. Zresztą, taka sprawa, takie okoliczności...

- Tak, to kwestia moralności i honoru, ale koszty nie przestają być kosztami. A teraz napijcie się kawy i dajcie mi to przeczytać.

Kasia postawiła tacę z kawą na biurku, a Krzysztof

pogрузył się w lekturze.

Kiedy skończył, był wyraźnie poruszony.

- Wygląda na autentyczny. Pisany na komputerze bez polskich znaków. I niepodpisany. Adresat widocznie wie, kto go wysłał.

- Krzysztof, może lepiej nie bawmy się w to. Od tego jest ABW. Przekażmy im tę sprawę - Karol mial się, przestraszony powagą sprawy.

- Popracujemy sami, a jeśli będziemy potrzebowali pomocy, zwrócimy się do kogoś od nich. Czasu zostało niewiele. Piszący upiera się, żeby zrobić to do siódmego lipca tego roku.

- A co takiego ma być siódmego lipca? - spytała Kasia.

- Szczyt NATO w Warszawie. Obama ma przyjechać.

ROZDZIAŁ XII



Sławomir Kosowski opadł na skórzany fotel w swoim warszawskim mieszkaniu ze szklanką pełną whisky w dłoni. Wrócił właśnie z Sopotu i czuł się najpodlej, jak mógł. Nawet nie przez Natalię, bo w sumie nigdy nie wierzył, że zostanie z nim do końca życia. Ale właściwie trochę też przez nią. Jego dom stał się znów zimnym i pustym mieszkaniem, a on – starym playboyem. W lodówce panował jeszcze jej porządek i wypełniało ją jedzenie, które kupiła dla niego, ale on chwycił tylko litrową flaszkę J&B. Napełnił whisky kryształową szklankę.

Zadanie, które przed nim stało, przerastało go. Przez całe życie ślizgał się, żeby nie dać się zmusić do wzięcia na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności, ale teraz już nie dało się w żaden sposób wyslizgać. Miał nadzieję pozostać aż do emerytury niewinnym kurierem, który wykonywał tylko

polecenia innych, większych od niego, bo od trzech pokoleń był pewnym człowiekiem tego układu, nic więcej.

Jak to Schmit powiedział? Że szef na pewno wezwie go, żeby potwierdził mu to, co przeczyta na pendrivie? Wszyscy wiedzieli, kim jest szef. Ten facet mógł wszystko i wiedział wszystko. Nie było przed nim kryjówki ani ucieczki. Najlepiej było w ogóle nie znać go osobiście.

Dopił whisky ze szklanki i napełnił ją raz jeszcze. Postawił ją, serwetką wytarł ze stolika kilka rozlanych kropli, włączył stojącą lampę i telewizor. Zanim ekran się rozjaśnił i zaczął pokazywać wieczorny dziennik TVP, Sławek upił kolejny łyk.

W telewizji minister spraw wewnętrznych przechwalał się, że wszystko jest przygotowane na szczyt NATO i że nic złego nie może się stać. Kosowski poczuł się w końcu odrobinę lepiej, trochę dzięki whisky, a trochę dzięki temu, że wiedział o tym, o czym nie wiedział nawet obecny minister występujący w telewizji.

- Zobaczymy, pajacu, jaki jesteś gość i jak ci się uda to wszystko bezpiecznie przeprowadzić - powiedział do siebie i poczuł się jak uczestnik gry, gdzie obie strony wystawiły przeciwników, którzy mają ze sobą walczyć, i nic więcej się już nie liczy. I nie ma ani czasu, ani miejsca na strach.

Dopił alkohol i zasnął, siedząc w fotelu. Koło pierwszej w nocy zbudził się, wyłączył lampę i telewizor, powlókł się do sypialni, zdjął z siebie ubranie i rzucił się na łóżko.

Mniej więcej o dziewiątej rano wstał, ogolił się i wykapał,

ubrał w garnitur, w przedpokoju położył torbę z laptopem i usiadł z kawą w salonie.

Zawsze, kiedy wracał z takiej misji, sekretarka szefa przychodziła koło dziesiątej następnego dnia po „materiały”. Tak samo było i dzisiaj. Rozległ się dzwonek do drzwi i po chwili do salonu wkroczyła piękna kobieta, wysoka i nieprzystępna. Wszyscy wiedzieli, że nazywa się Klaudia i bali się jej, bo była sekretarką samego szefa.

- Panie Kosowski, dzisiaj polecono mi zabrać pana osobiście do szefa i odwieźć potem do domu.

- Tak, rozumiem. Jedźmy więc - wziął torbę i przepuścił Klaudię w drzwiach.

Szef mógł mieć równie dobrze pięćdziesiąt jak i siedemdziesiąt lat. Był wysoki i tęgi. Siwe, falujące włosy, trochę przydługie, zaczesywał do tyłu. Kilkudniowy, siwy zarost nie pasował ani do jego wieku, ani do stanowiska, a pojawiający się co chwilę na jego obrzękłej twarzy histeryczny grymas wzbudzał w rozmówcach strach.

Szef podał Kosowskiemu tłustą, miękką dłoń, jakby do ucałowania, a drugą wskazał mu krzesło przed wielkim biurkiem.

- Ma pan coś dla mnie - stwierdził.

Kosowski drżącą ręką wyjął pendrive'a z torby komputerowej i podał go szefowi.

Ten podłączył go do swojego komputera stojącego na biurku.

- Co pan mi tu daje, do cholery? - histeryczny grymas szefa sparaliżował strachem Kosowskiego.

- Co takiego?

- Zdjęcia, jakieś prywatne czy co?

- Przepraszam pana. Pomyliłem pendrive'y, o, to ten właściwy...

Szef, udobruchany, oddał mu niewłaściwy dysk i podpiął do komputera ten drugi.

Zapadło milczenie, kiedy szef przebiegał oczami tekst na ekranie.

W końcu westchnął.

- No, to wie pan już, co robimy? Nikt nie może o tym wiedzieć. Nie wierzę nawet moim służbom. Teraz dam panu pewien numer telefonu. Pojedzie pan do Hamburga i zadzwoni pod ten numer. Ten gość mówi po polsku. Spotka się pan z nim, umówi tam, gdzie on będzie chciał. Potem da mu pan tego pendrive'a i powie, że dziesięć milionów euro zostanie przelane na jego konto, gdzie i kiedy będzie chciał. Potem wysłucha go pan i zapamięta, czego będzie potrzebował, i jeżeli nie będzie tam czegoś zupełnie nadzwyczajnego, zgodzi się pan. Wszystko pan zapamięta i zda mi raport po powrocie. Klaudia! Niech pani odwiezie pana Kosowskiego!

Klaudia zjawiała się bezszelestnie. Kosowski wsadził pendrive'a z powrotem do swojej torby i podążył za sekretarką.

ROZDZIAŁ XIII



Krzysztof przyszedł do biura bardzo wcześnie i siedział przy biurku, starając się wymyślić, jak zabrać się za nową sprawę. Czasu mieli mało – od 14 czerwca do 7 lipca. Od czego należy zacząć? Od sprawdzenia planu pracy prezydenta. Dokąd i kiedy się wybiera, kiedy wraca, którądy będzie jechał czy leciał.

Kris starał się postawić w roli ewentualnego zabójcy. Nie było to łatwe. Wprawdzie w prezydenckim samochodzie nastąpiła już raz eksplozja opony, ale wyglądało na to, że to niechlujstwo i niekompetencja ludzi z otoczenia głowy państwa doprowadziły do wypadku. Zresztą, jak mniemał, obsługa garażu i ochrona będą się miały teraz podwójnie na baczności.

Zamach wyobrażał sobie klasycznie – ktoś strzela z karabinu snajperskiego. Problem dla zabójcy stanowiłoby tylko dostanie się na odległość strzału do prezydenta. Czytał

kiedyś książkę Forsytha *Dzień szakala*, ale akcja miała miejsce we Francji, dawno temu. Technologiczna przepaść dzieliła lata sześćdziesiąte od roku 2016. GPS, telefonia komórkowa, internet - o tym nie śniło się ludziom w tamtych czasach.

Jak można dziś dokonać zamachu?

Bronią strzelecką, raketową, chemiczną, trucizną - i na dokładkę zabójca ma na to jeszcze dwadzieścia pięć dni. On wie, kiedy i gdzie uderzy. My nie.

Krzysztof włączył komputer i przeczytał jeszcze raz informacje zgrane z pendrive'a. Wynikało z nich, że zabójca najprawdopodobniej zostanie wynajęty gdzieś na Zachodzie, bo ani polski szef tej akcji, ani jego zagraniczny mocodawca nie dysponowali własnymi zorganizowanymi służbami.

Zresztą, wykorzystując do tego zadania służby, ryzykowali, że sprawa w końcu się wyda. Nie było szans, żeby przez lata utrzymać jakąkolwiek tajemnicę, jeśli wtajemniczono by wiele osób.

Pytań było wiele. Kto? Kiedy? Gdzie? Jak?

Sprawa nierozwiązywalna, bez żadnych danych. Od czego zacząć? Skąd zebrać informacje, gdzie i kiedy prezydent znajdzie się w sytuacji, w jakiej taki zamach byłby w ogóle wykonalny?

Krzysztof wstał i zaczął przygotowywać sobie kawę, kiedy drzwi otworzyły się i do biura weszła Kasia. Powiesiła kurtkę na wieszaku i zaraz przejęła obowiązki przy ekspresie do

kawy.

- Kasiu, poszukaj trochę w internecie, może gdzieś znajdziesz plan pracy i wizyt naszego prezydenta. Albo może masz jakiś inny pomysł, gdzie taki plan można znaleźć, no wiesz, cokolwiek, co byłoby dla nas punktem zaczepienia...

- A myślałeś o Karolu, tym dziennikarzu? Dziennikarze mają najróżniejsze kontakty. A on chyba jest jeszcze gdzieś tutaj, na Wybrzeżu.

- Słusznie. Na dokładkę jest dziennikarzem, jak to mówią, śledczym. I o tej akurat sprawie wie, jak dotąd, więcej ode mnie.

Krzysztof wziął kubek kawy spod ekspresu i postawił go na biurku. Napił się i wybrał numer Karola.

Karol przyszedł po piętnastu minutach i już w drzwiach powiedział:

- Czy mogę zgadnąć, co chciałeś powiedzieć?

- Oczywiście, że możesz.

- Że mamy dwadzieścia pięć dni i nie wiemy, od czego zacząć!

- Bingo! Coś wymyśliłeś?

- To samo, co ty byś wymyślił. Jedyne, co mamy i czego można się ucześcić. Zacznijmy od Sławomira Kosowskiego!

ROZDZIAŁ XIV



Zdzisław Kulczyński wyjął z kieszeni spray z nitrogliceryną, przyłożył go do ust i nacisnął przycisk. Na biurku przed nim w pustym gabinecie leżał raport oficera ABW, którego przydzielił do „sprawy Kosowskiego”.

Oficer ów odbył samochodową podróż do Brukseli, śledząc auto Sławomira Kosowskiego, by po dwudniowej nieobecności wrócić i położyć przed nim to właśnie sprawozdanie.

Zdzisław Kulczyński był człowiekiem sześćdziesięciosiedmioletnim, wrócił do pracy trzy miesiące temu, na wyraźną prośbę ministra, który oprócz jego nieugiętej lojalności cenił jego fachowość i inteligencję. Przy czym na temat tej inteligencji Zdzisław chętnie by podyskutował. Uważał, że miał po prostu szczęście we

wszystkich rozwiązanych do tej pory sprawach.

I dysponował intuicją co do oceny ludzi, która nigdy go jeszcze nie zawiodła. No, może raz, ale to dotyczyło wyboru żony. Ale żona opuściła go dwadzieścia lat temu, więc mieszkał teraz sam, a pani Kapustowa prowadziła mu dom. Szczególnie cenił ją, kiedy w soboty piekła wspaniałe jabłecznik albo pysznego drożdżowca. A piekła je wtedy, kiedy któraś z jego córek miała przyjść z wnukami.

Kulczyński uśmiechnął się do siebie i schował nitroglicerynę do kieszeni.

Jak to życie się plecie... Od liceum, a było to niezłe warszawskie liceum imienia Świerczewskiego, los zderzał go z Janem Mandlem. Mandel był w równoległej klasie A, a on w B.

Właściwie nie wiadomo, od czego zaczął się ich konflikt. W każdym razie doszło do solówki, czyli bójki na pięści, za rogiem szkoły, gdzie urządzano takie pokazy, a na każdej przerwie palacze palili papierosy. Asystowały obie klasy, bójkę zaś uznano za nierozstrzygniętą.

Ale życie stykało go z Mandlem jeszcze wiele razy. Okazało się, że kończyli ten sam uniwersytet i to podobne wydziały - on prawo karne, tamten administracyjne. Po studiach Kulczyński zobaczył go w „reżimowej” telewizji jako VIP-a ze służby bezpieczeństwa. Trochę się dziwił, bo parę razy, jeszcze na uczelni, widział Jana Mandla z „Tygodnikiem Powszechnym” w ręce i myślał, że tamten jest wierzącym katolikiem.

Ale tym nie zawracał sobie wtedy głowy. Działał jak to on, po frajersku, w uczelnianej opozycji, pełen naiwnej wiary, że dobro, honor i tak dalej zawsze zwyciężą. Na dokładkę nie umiał porządnie spiskować i zawsze rzucał się w oczy. Skończył więc Uniwersytet po dwóch dziekankach, niby za niezdane egzaminy. A tak naprawdę za to, że zawsze był tam, gdzie ktoś odważył się sprzeciwić władzy. Już wtedy podejrzewał, że to robota esbeka - Jana Mandla.

Oczywiście w roku osiemdziesiątym wylądował w Gdańsku tuż przy prawdziwych bohaterach, a w osiemdziesiątym pierwszym skończył, również w ich towarzystwie, w więzieniu. Pełno tam było Boga, Honoru i Ojczyzny, ale po wyjściu na wolność omal nie stracił mieszkania po rodzicach, a żona zniecierpliwiona jego „frajerstwem” odeszła, zabierając z sobą obie, kilkuletnie wtedy córki.

Był rok 1989 i znowu zapanował szal niby-niepodległości, gdzie Solidarność naszpikowana agentami myślała tak, jak stara agentura chciała, żeby myślała. Nie miał już wtedy złudzeń, szczególnie kiedy zobaczył, że jego odwieczny wróg, Mandel, został szefem tajnej służby i przeszedł bez skaleczeń tak zwaną lustrację.

Zdzisław był w służbach równoległych i nie był już młodym naiwniakiem, wiedział, co i jak. Nie musiał zgadywać, o co tu chodzi. Teraz miał ludzi i dokumenty. Słusznie jednak na razie ich nie używał, czując, że mogą się przydać później.

Widował Jana Mandla w telewizji, ale „w realu” go nie spotkał. Dopiero teraz, w roku 2016, kiedy obsadzono go znowu jako szefa operacyjnego ABW, okazało się, że jego odwieczny wróg zajmuje się czymś naprawdę niebezpiecznym. Niebezpiecznym dla państwa.

Do jego służb przyjmowano znów młodych, naiwnych ludzi, takich jak on kiedyś. Pewnego dnia na biurku Kulczyńskiego wylądował raport jednego z obserwatorów dotyczący niejakiego Sławomira Kosowskiego, zdeklarowanego wroga rządu i każdej zmiany, która mogłaby zagrozić w jakikolwiek sposób najwyższej „kaście” urzędniczej, rządzącej Polską w systemie dynastycznym praktycznie od zawsze.

Nietrudno było stwierdzić, że Mandel kontaktował się przy pomocy Kosowskiego z obcymi wywiadami i jakąś nielegalną organizacją działającą wewnątrz Komisji Europejskich.

Zresztą otrzymał potwierdzenie takiej działalności Kosowskiego z AKW, czyli Agencji Kontrwywiadu Wojskowego.

Raport, który leżał właśnie przed nim, informował, że Kosowski udał się prywatnym samochodem do Brukseli, zatrzymał się w hotelu, spędził noc z polską eurodeputowaną i – co najważniejsze – że odwiedził go pan Schmit.

Schmit był na utrzymaniu wszystkich większych lobby najpotężniejszych koncernów świata. Niestety, to była najmniej dokładna część raportu. Schmit wyszedł

z Kosowskim wieczorem z hotelu, wsiedli do samochodu Schmita i odjechali. Nie było ich koło pół godziny.

Co powiedział Schmit Kosowskiemu? Coś piekielnie ważnego, Kulczyński nie miał co do tego wątpliwości.

Był starym lisem i wiedział, że najważniejsze informacje przekazuje się w znanych sobie najlepiej pomieszczeniach, na przykład we własnym samochodzie, a i to najlepiej, mówiąc cicho.

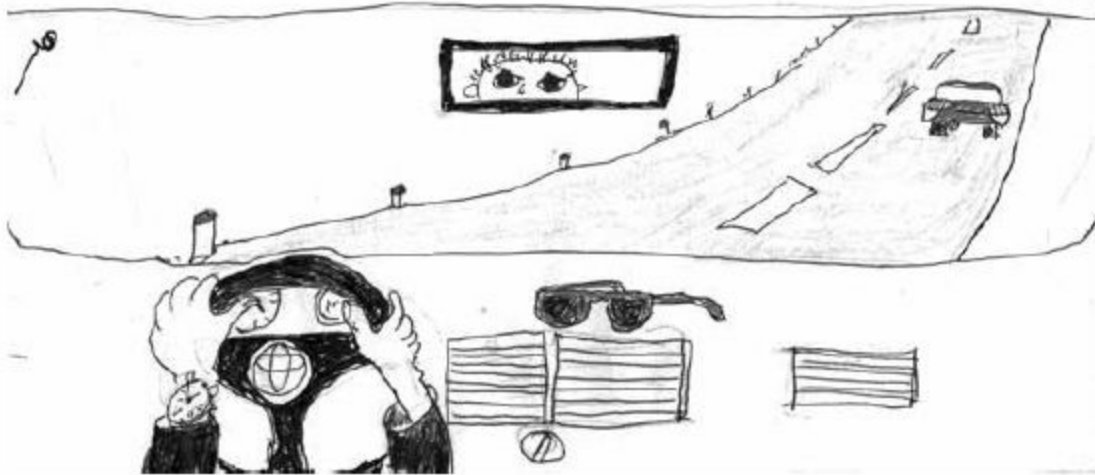
Westchnął i nacisnął mikrofon.

- Niech pani wpuści pana Maćka.

Po chwili grube, wyciszone drzwi otworzyły się i przed biurkiem stanął młody, chudy człowiek z rudą brodą.

- Panie Maćku, niech pan czatuje pod siedzibą Kosowskiego i jedzie za nim wszędzie, gdzie się ruszy! Czekaam na raporty i zdjęcia!

ROZDZIAŁ XV



Krzysztof, siedząc za kierownicą swojej srebrnej toyoty, słuchał radia. Toyota była zaparkowana w długim rzędzie innych aut pod eleganckim murem odgradzającym jedno z osiedli warszawskich apartamentowców od zwykłego, biednego świata.

Spiker w radiu co chwilę chwalił, jak dobrze wszystko jest przygotowane do szczytu NATO, który miał się odbyć za dwa tygodnie w Warszawie. Zdjęcie Sławomira Kosowskiego stało oparte o szybę. Krzysztof dostał je od Karola, bo sam nigdy pana Kosowskiego nie widział. Nie mogli skupić się na śledzeniu samochodu konkretnej marki, bo nie wiedzieli ani kiedy, ani którym autem ze swojej stajni Kosowski wyruszy w drogę.

Karol pobiegł kupić coś do jedzenia i do picia, bo czerwcowy upał dawał się już we znaki, a Krzysztof pilnował bramy osiedla. W końcu drzwi szczęknęły, a Karol rzucił na tylne siedzenie papierowe torby z kanapkami i cztery wielkie butle Ice Tea.

- Nic? - zapytał Karol.

- Jeszcze nic. Ale czuję, że długo tu nie postoiemy.

- Co, cały czas się chwalą, jak to będzie bezpiecznie? - Karol wskazał dłonią na radio.

- A jakże. Trochę im się dziwię. Na wszelki wypadek powinni trochę skromniej do tego podchodzić.

- Jasne. Ale patrz, wykrakałeś!

Szlaban bramy podniósł się i zza niego wynurzyła się szeroka, czerwona mordą forda mustanga.

- Kurde, moim wozem jedzie!

- Długo byś musiał tyrać na taki...

Ford wyjechał na ulicę i ruszył w stronę miasta, ale zanim się rozpędził, zahamował i cofnął o kilkadziesiąt metrów. Zaparkował tyłem na jedynym wolnym miejscu na parkingu przed nimi. Kosowski wysiadł z auta, kierując się z powrotem do bramy. Krzysztof zrobił mu od razu serię zdjęć. Karol zaraz szarpnął detektywa za ramię.

- Pewnie czegoś zapomniał - Krzysztof wyciągnął logiczny wniosek.

- Co tam zapomniał, patrz, co się dzieje z mustangiem!

Kilkadziesiąt metrów od nich z zaparkowanego beżowego mondeo wysiadł jakiś młody, rudobrody człowiek i podszedł do auta od strony chodnika.

Kiedy Kosowski zniknął za bramą, kierowca mondeo schylił się i wyraźnie przyczepił coś od spodu do podwozia mustanga.

- Cholera, ale mamy szczęście. Bomba to nie była, więc pozostaje...

- GPS - dokończył Karol. - Czyli ktoś oprócz nas śledzi naszego Sławka. Zważywszy, że jest mało prawdopodobne, żeby to był jakiś inny detektyw, pozostaje mieć pewność, że to ABW albo jakaś inna nasza służba specjalna.

- Nie będę z panem redaktorem polimeryzował - zażartował Krzysztof, rzucając powiedzenie z jakiegoś kabaretu.

Rudzielec wrócił do swojego mondeo, a Krzysztof zaraz wysiadł i przechodząc obok niego, zapamiętał numery rejestracyjne. Takich aut było dużo, lepiej mieć pewność.

Kosowski wrócił po pięciu minutach z kurtką i teczką i rażno ruszył z miejsca. Krzysztof i Karol odczekali, aż mondeo wyjedzie za nim i mając oko na oba wozy, skręcili w warszawskie ulice.

Wkrótce jechali autostradą na zachód, nie śpiesząc się i zachowując pozory, że są po prostu jednymi z jadących na zachód podróżujących i absolutnie nikogo nie śledzą.

ROZDZIAŁ XVI



Werner Krawietz spoglądał z okna swojej łazienki na błyszczącą w słońcu rzekę z prawdziwą przyjemnością. Policzki miał namydlone, radio wesoło podawało najnowsze wiadomości o korkach na ulicach Hamburga, a telefon czekał na parapecie okna na to wspaniałe zamówienie.

Krawietz otrząsnął się już jakoś z ostatnich niepowodzeń, wczoraj nie wypił ani kropli alkoholu, poprawił ćwiczeniami swoją kondycję fizyczną. Kontakt i samo spotkanie z kurierem z Polski miał już zaplanowane – po prostu spotka się tak, jak zwykle. Opracował wszystko już dawno, żeby zachować anonimowość i bezpieczeństwo podczas tego typu akcji. Po prostu umawiał się z klientami w „Sex Centre” na St. Pauli. Była to wielka, niska hala podzielona przepierzeniami na kilkaset zakątków. W tych zakątkach

stały dziewczyny, do wyboru i koloru, a klienci mogli spacerować i oglądać do woli. Jeśli któryś się zdecydował, wybrana dziewczyna wiozła go windą na górę. Tam pokoiki bez okien, ale z łazienkami, zapewniały dyskrecję i higienę.

Werner niby wynajmował wtedy jakąś dziewczynę, za każdym razem inną, i dawał jej sto euro, żeby poszła sobie na spacer na godzinkę. Brał od niej klucz i dyskretnie prowadził umówionego klienta od wejścia do pokoju. Dziewczyny przeważnie trochę go podglądały, ale brały go za wstydliwego homoseksualistę i znikwały na godzinę zgodnie z umową.

Polał obficie dłoni wodą kolońską i wklepał ją w policzki. Telefon wsadził w kieszeń szlafroka i wyszedł do kuchni, gdzie ekspres perkotał na znak, że kawa już gotowa.

Z kubkiem w ręku usiadł w fotelu i zasłonił szklaną ścianę od strony rzeki i słońca sterowaną pilotem żaluzją. Włączył telewizor, żeby obejrzeć poranne wiadomości. Prezenter mówił, że w Warszawie 7 lipca odbędzie się szczyt NATO i sam Obama ma tam przyjechać w związku z tym.

Położył nogi na stoliku i wziął łyk kawy, kiedy telefon w kieszeni zadzwonił. Wyjął go i spojrzął na *display* - numer nic mu nie mówił, ale był z Polski.

- Tak, słucham?

- Czy pan Sprotte?

- Tak.

- Przyjechałem z Polski w pewnej sprawie...

- Gdzie pan teghaz jest?
- W Hamburgu, w centrum, gdzieś koło dworca Hamburg-Altona.
- Dobrze. Niech pan będzie na Sankt Pauli, w „Sex Centghe”. Jak pan wygląda?
- Mam na sobie żółtą skórzaną kurtkę.
- Będę czekał na pana przy wejściu o dwunastej w południe.
- „Sex Centre”? Co to takiego?
- Zobaczy pan na pewno. Na głównej ulicy Sankt Pauli jest wielki napis. Paghking jest pod tym miejscem.
- Dobrze, do widzenia.

Krawietz miał jeszcze pół godziny. Założył cienką, bawełnianą bluzę z kapturem i zszedł do garażu.

Jego świeżo odzyskany SUV stał wypolerowany, świecąc ciemnozielonym lakierem, a namalowany na masce wielki, żółty pajak patrzył złym okiem.

Krawietz wszedł do auta i nacisnął pilota bramy.

Krzysztof z Karolem przedzierali się ulicami Hamburga i dziękowali Bogu, że śledzą taki oryginalny samochód. Nie dość, że mustang, to jeszcze czerwony.

Śledzone auto zatrzymało się właśnie niedaleko dworca Hamburg-Altona. Kosowski wysiadł z auta i wszedł do

jednego z wielu barów, takich z zaledwie paroma wysokimi stolikami, przy których trzeba było stać, jedząc czy pijąc kawę.

Zatrzymał się przy stoliku tuż przy oknie, tak że mogli go widzieć *en face*. Pił kawę i z kimś rozmawiał przez komórkę. W końcu pokiwał głową i wsadził telefon do kieszeni. Dopił kawę i znów wsiadł do auta.

Jechali tak razem kilka minut, zanim wydostali się na szeroką ulicę z mnóstwem barów i seksklubów. O tej porze dnia wszystko wyglądało mało zachęcająco, ale mustang zatrzymał się przed szerokim, niskim wejściem bez żadnych drzwi. Na ścianie lśnił olbrzymi napis „SEX CENTRE”.

- Kurde, po to tu przyjechał? - spytał Krzysztofa zdumiony Karol. Mustang stał tak przez kilka minut. W końcu Karol wysiadł i ruszył przed siebie chodnikiem. Minął mustanga, a wtedy Kosowski również wysiadł i podszedł do wejścia „Sex Centre”. Rozejrzał się niepewnie, ale jakiś mężczyzna ubrany w szarą bluzę, o twarzy ukrytej w kapturze, machnął do niego ręką. Kosowski uspokojony wszedł do środka i zaraz zniknął za jakimś przepierzeniem.

Karol przeszedł jeszcze kilka kroków i jego uwagę zwrócił jakiś samochód typu SUV. Przysięgłby, że widział już to auto gdzieś całkiem niedawno. Zrobił mu zdjęcie aparatem w telefonie, przeszedł na drugą stronę ulicy i po chwili usiadł znów w corolli koło Krzysztofa.

- No to czekamy. Nie wiemy tylko, co pan Sławuś tam robi i czy to jest dla nas ważne - sarknął Karol.

- A masz co innego do roboty?

- Nie. Zobacz to zdjęcie - Karol pokazał mu fotografię przed chwilą widzianego SUV-a.

Krzysztof aż podskoczył na siedzeniu.

- Poznaję. To taki sam samochód, jak ten, którym przyjechał ten typ, co chciał cię zabić w garażach. Jechaliśmy nim potem, to znaczy ja prowadziłem, żeby nas nie złapał. Ty jechałeś za mną swoim mustangiem.

- Masz rację. Ale jak nim jechałeś, zauważyłeś może coś charakterystycznego, żebyśmy mogli być pewni, że to ten sam wóz? Nie wiem, jakaś maskotka, rysa, numer?

- Kumam, o co ci chodzi. Ale nic takiego tam nie widziałem. Chociaż nie... na desce rozdzielczej był zepsuty zegar. Nawet się pomyliłem i myślałem, że pokazuje prawidłowy czas, bo wskazywał coś koło tej godziny, o której jechaliśmy. Zaraz, tak, za dwadzieścia piąta pokazywał. Potem dopiero się okazało, że nie działa.

- No to śmigaj i sprawdź, czy na tym w SUV-ie przed nami jest za dwadzieścia piąta.

Krzysztof wyskoczył z auta i poszedł tą samą drogą, którą przed chwilą szedł Karol. Przy SUV-ie schylił się, niby czymś zaintrygowany, i drgnął zaraz tak, że Karol wiedział już, że to jest to samo auto.

Nie wnosilo to wprawdzie jeszcze nic do sprawy, w której tu przyjechali, ale kto wie?

Werner Krawietz patrzył na posłańca z Polski w świetle lampki nocnej. Lampka oświetlała twarz kuriera, ale jemu pozwalała pozostawać w cieniu.

Sławomir patrzył na postać w kapturze i odprężył się, pewien, że za chwilę jego zadanie będzie już wypełnione.

- Więc chodzi o polskiego prezydenta. To będzie kosztowało dziesięć milionów euro, płatne z góry. Wasz szef wie o mnie wszystko, nic nie ghyzykujecie. Oto numer konta, na któghę mają wpłynąć pieniądze. Trzeba działać szybko, potrzebuję czasu, żeby wszystko przygotować. I jeszcze jedno. Potrzebuję w Polsce jakiejś spokojnej kwatery, wszystkie klucze mają być u mnie w kieszeni - głos Krawtza był spokojny i zdecydowany.

- Czy może być trzysta kilometrów od Warszawy? Na północny wschód? - Sławomir zwięszył okazję łatwego zarobku.

- Może. Co to jest?

- To moja posiadłość na Mazurach, ogrodzona i pewna. Strażnika można odprawić.

- Dobrze. Ale zapłaci ci za to twój szef.

- Jasne. Na jak długo potrzebuje pan tej kwatery?

- Myślę, że siódmego lipca będzie już po wszystkim. Siódmego jest ten szczyt NATO. Klucze zostawię w skrzynce na listy. Okay?

- Dobrze. Gdzie, kiedy i komu mam przekazać klucze?

- Daj pan adghes posiadłości. Jak wpłyną pieniądze, zadzwonię do pana i przekaże mi pan wszystko na miejscu. Niech pan zaopatrzy kuchnię w prowiant dla kilku osób na kilka dni. Dla bezpieczeństwa. Ghrównież pańskiego bezpieczeństwa - Krawietz wstał.

- Tak jest - Sławomir uniósł się również i czekał, czy tamten poda mu rękę.

Nie podał ani nie odprowadził go do wyjścia.

Kosowski pojawił się przy aucie nagle, ledwo go zauważyli. Ale zanim ruszyli za mustangiem, szczupła sylwetka w bluzie z kapturem podeszła do SUV-a.

- Kurde, Krzysztof, za kim jedziemy?

Mustang już wydostał się z szeregu parkujących aut, a znajome mondeo właśnie odpaliło motor.

- Ci na sto procent wracają do Warszawy. Pojedziemy za SUV-em.

Corolla wykręciła o 180 stopni i ruszyła z kopyta za SUV-em, który już zniknął w perspektywie ulicy.

ROZDZIAŁ XVII



Mandel przykrył głowę poduszką, żeby nie dopuścić do oczu dziennego światła. Był koniec czerwca i robiło się widno już koło trzeciej. Skończył pić koło jedenastej wieczorem, wlał w siebie sporo. W pojedynkę, jak zwykle. Żeby w ogóle zasnąć. Nie potrzebował do tego żadnego towarzystwa.

Ale świadomość i światło wracały uparcie do jego umysłu i zastanawiał się, jaki impuls mógł go wyrwać ze snu.

Zrzucił poduszkę z głowy i wtedy usłyszał dzwonek telefonu. Tego telefonu. Nastawił w nim melodię *Dla Elizy* Beethovena. Miał słabość do tego utworu od dawna.

Wyskoczył z łóżka i porwał telefon.

- Szefie, pieniądze wpłynęły na moje konto. Zaczynam akcję.

- Szybko wpłynęły. Wyślij moją część po robocie. Jak będziesz potrzebował czegoś, kontaktuj się ze mną.

- Jasne. *Out!*

Mandel odłożył telefon i poszedł do łazienki. Twarz w lustrze była jak zwykle obrzękła, tylko o jeden dzień i jedno pijaństwo starsza.

Wrócił do łóżka i zastanowił się, co wymyśli ten Krawietz. Za taką forszę nawet wojnę może zorganizować.

To nowe ABW chyba nic na razie nie kuma. Chociaż do tego cholernego Kulczyńskiego nigdy nie miał szczęścia. A to on tam teraz szefuje.

Kurde, problemy z nim były już od tej prywatki w dziesiątej klasie.

Kochał się wtedy młodzieńczą miłością w Mirce Siemaszko. Mirka nie była powalająco piękna, ale na szkolnych przedstawieniach tańczyła w baletkach do *Tej melodii starej jak świat* (trzymając w dłoniach dwa zimne ognie), grała na fortepianie wszystkie trzy polonezy młodzieńcze Chopina, więc była dla niego nieosiągalnym cudem. I nauczyciele nie mówili na nią Siemaszko, tylko Siemaszkówna. Tak wytwornie, przedwojennie.

Sam miał w domu tylko wiecznie podchmielonego ojca, który wychowywał go od czasu do czasu, przeważnie pięścią po wywiadówkach. Mieli niezłe mieszkanie i stałe dochody, ale daleko im było do Mirki.

I na tej właśnie prywatce, po naleganiach kolegów, Mirka

zasiadła do pianina i zagrała *Dla Elizy*.

Jan Mandel czuł się całkowicie oszołomiony. Był gotów zrobić dla niej wszystko. Założyć zespół bigbitowy nie gorszy niż Czerwone Gitary albo zostać agentem jak „Święty”, czyli Roger Moore.

Mirka zaś wstała od instrumentu i wyglądało przez chwilę, że nie wie, co ze sobą zrobić, więc w szale rozpaczy poprosił ją do tańca.

I tańczył z nią nieśmiały, szczęśliwy i wzruszony. Odprowadził ją po tańcu i wtedy pojawił się ten cholerny Zdzisław Kulczyński.

Wyglądał przeciętnie, jak wszyscy, ale Mirka do końca prywatki rozmawiała i tańczyła tylko z nim, spoufaliła się i trzymała go za rękę.

Jan Mandel znienawidził całym sercem Zdzisława Kulczyńskiego. W końcu sprowokował go nawet do solówki, ale to nic dało.

Wtedy zrezygnował z walki o jej serce i z założenia zespołu bigbitowego.

Postanowił zostać agentem. I dotrzymał słowa.

ROZDZIAŁ XVIII



Pięciu mężczyzn siedzących przed Wernerem Krawtzem patrzyło na niego z uwagą, choć bez sympatii.

Helmut Wrede przyprowadził pozostałych czterech, bo sam pracował już przedtem dla Krawtza i mógł zagwarantować, że Krawietz wymaga, ale płaci.

Krawietz zaś wynajął już raz rok temu Wredego do zabójstwa szefa jednego gangu, który nie zwrócił kupy forsy innemu bandycie i trzeba było pokazać, kto tu rządzi. Wrede wziął wtedy 35 tysięcy dolarów, ale ścigał skazanego z Francji aż do Wenezueli i tam wysadził go w powietrze z całym sztabem, przywożąc Krawtzwowi wenezuelski dziennik ze zdjęciami jako dowód.

Karabiny Barrett M82 kupił Krawietz dwa, w swoich

źródłach. Były najcelniejsze i zabijały kulami o kalibrze 12,7 mm nawet z odległości trzech kilometrów.

Bandyci siedzieli w garażu na oponach, oświetleni tylko słabą kablówką na baterie z auta.

- Trzeba zastrzelić kogoś za sto tysięcy euro. Dwóch będzie strzelać, a trzech kierować trzema autami.

Helmut popatrzył na Egona Corte, którego znał od lat. Pozostałych trzech nie znał, ale Corte za nich ręczył.

-Ty i ty - Krawietz wskazał na Helmuta i Egona. - Wy dostaniecie po sto tysięcy - spojrział na pozostałych. - Kierowcy dostaną po pięćdziesiąt kawałków. Mamy dziesięć dni. Jedziemy jutro do Polski. Spotykamy się na lotnisku w Gdańsku, jedziemy dalej moim wozem. Pytania?

- Jak wrócimy? - spytał jeden z kierowców.

- Autami z zamachu macie uciec poza zasięg ochrony. Potem wsiądziecie w inne auta, będą podstawione.

- Zapłacisz połowę z góry?

- Strzelcy dostaną po dwadzieścia tysięcy, kierowcy po dziesięć tysięcy zaraz.

- To dobrze, nie mam nawet na bilet na samolot.

- Jedno pytanie - zapytał Helmut. - Jaka broń?

- Dostaniecie po Barretcie M82. I po dwieście naboju, żeby

potrenować. Widzimy się jutro o szesnastej w Gdańsku na parkingu.

I Helmut, i Egon zamysłili się. To nie były żarty. Z broni po piętnaście tysięcy dolarów nie strzela się do byle kogo. Ale nie dało się już wycofać. Należało to zrobić, bo za to płacili, i wiać, gdzie pieprz rośnie.

ROZDZIAŁ XIX



Kulczyński stał w oknie swojego gabinetu i spoglądał na zalane słońcem podwórze. Kiedyś taka czerwcową pogodą cieszyła go i wystarczała, żeby uczynić go szczęśliwym na cały dzień. Teraz wiek i ta cholerna sprawa, o której prawie nic nie wiedział, robiły z niego starego ponuraka.

Maciek przyczepił GPS do auta Kosowskiego i co? I nic. Przejechał się za nim do Hamburga, do jakiegoś burdelu, zrobił parę nic nieznaczących zdjęć i w efekcie Zdzisław był w tym samym miejscu, co na początku.

A jego intuicja nie dawała mu spać, czuł, że dzieje się coś wielkiego i piekielnie niebezpiecznego.

Na podwórzu do szlabanu podjechała jakaś srebrna toyota, ale po półminutowej dyskusji między kierowcą

a strażnikiem odjechała.

Po chwili pojawił się jakiś wysoki gość, chyba ten z toyoty, i znów pytał o coś strażnika. Ten pokazał mu biuro przepustek.

Zdzisław usiadł znowu za biurkiem, spojrzął na dwa raporty Rudego i westchnął.

W tym momencie zadzwonił wewnętrzny telefon. Zdzisław podniósł słuchawkę niechętnie. Po drugiej stronie wysokiej rangi oficer powiedział, że w biurze czeka jakiś dziennikarz śledczy i koniecznie chce się z nim, Kulczyńskim, widzieć. Że podobno sprawa wagi państwowej.

Kulczyński normalnie nie wpuściłby go, bo nie miał zamiaru wysłuchiwać głupot od tego typu ludzi, ale po pierwsze, nie miał nic do roboty, a po drugie liczył, że nawet, jeśli ten mężczyzna nic nie wie, może rozmowa z nim naprowadzi go w końcu na jakieś właściwe tory.

Poprawił kołnierzyk i powiedział do mikrofonu:

- Pani Basiu, proszę dwie kawy.

Nie wiedział wprawdzie, czy gość będzie chciał pić kawę, ale może coś się w końcu ruszy.

Karol Świdorski nie miał nic przeciwko kawie, a jego wygląd i energia zaraz wprawiły Kulczyńskiego w lepszy humor.

- Więc, panie generale...

- Nie jestem żadnym generałem, nazywam się Zdzisław

Kulczyński i jestem tu po prostu szefem. To dużo, ale czasami nie aż tak. O co chodzi, panie redaktorze? Dobrze pana tytułuję?

- Dobrze. Otóż przychodzę do pana w ważnej sprawie, jak mniemam. W sprawie wagi państwowej. Myślałem, że wyjaśnię dawną aferę i będę miał o czym pisać, ale przypadkiem trafiłem na coś, z czym nie dam sobie sam rady... a właściwie nie sam, ale z przyjacielem, który jest zawodowym detektywem. Poza tym czasu jest bardzo mało...

Kulczyński spojrzał na niego pytająco.

- Zajmowałem się pewną sprawą sprzed lat, pewnie pan słyszał o aferze „Żelazo”?

Zdzisław Kulczyński zamyślił się. „Żelazo”, znowu ten cholerny Mandel. Był wtedy blisko zapuszkowania go na długo. Ale przez tę cholerną demokrację stracił pracę, bo wybory wygrała lewica. Znowu był bezsilny, a zebrane materiały przejął ktoś inny.

- Wyjechałem w tym celu do Hamburga, bo tam zaprowadził mnie trop. Po kilku dniach porwano mnie i chciano zamordować. Uratował mnie wspomniany już detektyw. Moja dawna narzeczona, Natalia Kosowska, wynajęła go, żeby mnie znalazł. I faktycznie mnie znalazł...

- Zaraz, zaraz, czy ta Kosowska nie jest czasem spokrewniona ze Sławomirem Kosowskim?

- To jego żona. Ale rozwodzą się. Znałem ją już lata temu, jeszcze przed jej małżeństwem, ale musiałem na jakiś czas

wyjechać...

Zdzisław poczuł, że krew szybciej krąży mu w żyłach. Nareszcie coś. Przecież ten Kosowski to adiutant Mandla. Nareszcie coś!

- I co dalej? - zapytał, próbując uspokoić głos.

- Otóż Natalia przez pomyłkę wzięła pendrive'a męża, był identyczny jak jej pendrive, i kiedy przeczytała to, co zawierał, przekazała go mnie, a ja temu detektywowi...

- Mam nadzieję, że wziął pan tego pendrive'a z sobą?

- Tego nie, bo Natalia musiała podrzucić go mężowi, żeby nic nie zauważył, ale tutaj jest wszystko skopiowane - Karol położył przenośny dysk na biurku przed Zdzisławem.

- Niech mi pan da kilka minut - Kulczyński wetknął pendrive'a w port USB swojego komputera i zagłębił się w lekturze. Ciśnienie rosło mu stopniowo i czerwieniał na twarzy. W końcu spojrzał na Karola.

- Boże, coś pan tu przyniósł? To nieprawdopodobne! Co pan jeszcze wie?

- Szpiegowaliśmy trochę tego pańskiego rudego agenta.

- Mojego agenta?

- No, tego z rudą brodą, co jechał za Kosowskim do Hamburga...

- Dał się szpiegować? Nie zorientował się?

- Tego nie wiem, jechaliśmy za nim i za Kosowskim do

samego Hamburga.

- I co? Dojechaliście do burdelu...

- Niby tak, chociaż pod burdelem znaleźliśmy następny ślad. Wprawdzie bardzo niepewny, ale jednak...

- Dobra. Niech pan poda nazwiska swoje i tego detektywa pani Basi. Macie do mnie wstęp dzień i noc. Oto wizytówka z moim alarmowym numerem telefonu. Szukajcie dalej i informujcie mnie o wszystkim. Sprawa jest bardzo poważna.

Po pięciu minutach rozmowy Karol wsiadał do toyoty Krzysztofa, a Zdzisław Kulczyński zwoływał telefonicznie operatywkę.

-I jak zareagowali na nasz *news*? - spytał Krzysztof, ruszając spod budynku ABW.

- Ten ich szef, Kulczyński, wyglądał jak przekłuty balon, kiedy wszedłem, jak mu dałem pendrive'a, zaczął się ożywiać, a jak wychodziłem, był już jak fregata pod pełnymi żaglami.

- Wiesz co? Ja właściwie mam prywatną, dwuosobową firmę. Tak mnie w każdym razie traktują klienci. Firma się nazywa „Detektyw Kris”. I nikt mi nie wmówi, że jakakolwiek państwowa firma, czy w tym wypadku - służba, może działać lepiej niż prywatna - wymądrzył się Krzysztof i zamilkł.

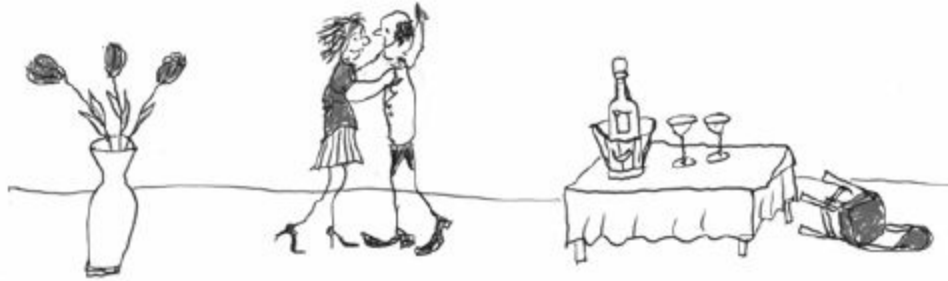
- Dajcie mi więc sztamborek i dajcie mi młotek, wykuję to w betonie i napuszczę złotem! - skomentował Karol, rymując,

i obaj się roześmiali.

- Ty, poeta, a co to jest sztamborek? - spytał Krzysztof niepewnie.

- Nie wiesz? Lokalna nazwa mesła do kucia ścian, okrągły, wydrążony, przez dziurę przelatuje skutny gruz...

ROZDZIAŁ XX



Gerhard Schmit w piątkowy wieczór jechał z lotniska taksówką do rodzinnego Ghent. W związku ze swoją pozaeuropejską działalnością po ostatnim tygodniu czuł się trochę niespokojny. Wiedział, co robi i jak jest to wszystko zorganizowane, kto i po co rządzi Unią Europejską, ale po raz pierwszy brał udział w czymś aż tak radykalnym.

Zresztą gardził setkami milionów głupców, którzy wierzyli w jakiegokolwiek dobre intencje tej instytucji. Dlatego nie miał dla nich litości.

Szczególnie nie cierpiał idiotów z tytułami profesorskimi, którzy próbowali uzasadnić nawet najgłupsze posunięcia tej potężnej organizacji.

- Mam pięćdziesiąt trzy lata i z zawodu jestem referentem. Ale przerosłem was, wielce wykształceni, dzięki mojej inteligencji i temu, że wiem, jak i co. I to ja wami rządę, a nie odwrotnie - mówił do siebie w takich

wypadkach.

Oczywiście to nie była zupełnie prawda. Na stanowisko mianowała go tajemnicza Rada, która decydowała o wszystkim i jak podejrzewał, składała się z przedstawicieli wielkich koncernów. Na jak długo go mianowano i dlaczego, nie miał pojęcia, ale wiedział, co i jak robić i mówić, żeby Rada była zadowolona. Jak na razie od paru lat mu się to udawało.

Auto zatrzymało się pod wskazanym adresem i Gerhard zdał sobie sprawę, że zamiast adresu Weroniki, podał adres swojego starego, pustego domu.

- Niech pan jedzie na Marienweg 22 - powiedział do kierowcy.

Tak umówili się z Weroniką. To była pierwsza kobieta, na którą zwrócił uwagę, od kiedy rozstał się z żoną - Astrid. Z Astrid miał dorosłego syna, który nigdy go nie rozumiał i wyjechał w końcu do Stanów na studia.

Kiedy więc Astrid wyjechała z tym swoim Polakiem czy Słowakiem, załamał się, nie wracał z Brukseli do domu przez całe miesiące, i kiedy w końcu wrócił, żeby znaleźć drzwi wejściowe, musiał przedzierać się przez dwumetrowe chwasty, które wyrosły w ogrodzie.

Miał masę pieniędzy, zaraz dał więc ogłoszenie, żeby ktoś doprowadził dom i ogród do porządku.

I wtedy zjawiała się Weronika. Bez żadnego upoważnienia objęła władzę nad dwoma ogrodnikami i dziewczyną do

sprzątania, a w końcu nad nim również.

Była wysoką, trzydziestopięcioletnią blondynką o ciężkich, grubych, złotych włosach, pięknej postawie i długiej szyi, co Gerhard odkrył dopiero, kiedy w zasadzie już nim rządziła.

Był od niej dużo starszy, niespecjalnie przystojny i jedyne, czym jej mógł zaimponować, to stanowisko w Unii.

Machał lekceważąco ręką, kiedy oglądali w telewizji audycje z jego własnym udziałem, i opowiadał jej różne plotki o tych wszystkich „wielkich”, których pokazywali na ekranie.

Weronika mówiła po francusku z uroczym akcentem i coś wspominała, że jej matka i ojciec byli imigrantami tu, w Belgii.

Co go to wszystko obchodziło? Kiedy przy niej był supermanem i patrzyła na niego z takim podziwem, robił wszystko, co niby na żarty kazała, ale zawsze okazywało się, że miała rację.

Pewnego razu, żeby jej pokazać, jaki jest potężny i bogaty, kupił jej mały domek na Marienweg 22, i od tej pory praktycznie tam mieszkali, choć ona dbała także o jego stary dom.

Zapłacił za taksówkę i otworzył furtkę całą w ukwieconej pergoli. Tak jak myślał, lunch stał na zgrabnym stoliku pod winoroślą.

- No, nareszcie kochanie. Myślałam, że gęś wystygnie - Weronika w uroczym zielonym fartuszkach podeszła, muskając

go ustami.

- Miałem strasznie ciężki tydzień. Musiałem sam podejmować decyzje, których nikt inny nie chciał podjąć.

- Co to mogły być za decyzje? Że znowu będziemy musieli paść tych leni ze wschodniej Europy? A oni za to tu przyjadą i zabiorą nam pracę...

- No właśnie. Może wydarzy się coś takiego, że wszystko się zmieni. To będzie jak bomba atomowa!

- Co ty, wojnę wywołacie?

- Lepiej. Opanujemy ich bez wojny.

- Już to mówiłeś i jak na razie z tego, co opowiadają w telewizji, wynika, że to tamci robią się coraz bardziej bezczelni.

- Jeszcze dwa tygodnie i zobaczysz!

- Co będzie za dwa tygodnie?

- Zobaczysz.

Po lunchu pojechali razem nad morze, koło ósmej wieczorem zjedli wspaniały obiad w najlepszej restauracji, trochę potańczyli, przed północą wrócili do domu, a na drugi dzień rano Weronika już wszystko wiedziała, ale obiecała, że będzie milczała jak grób.

ROZDZIAŁ XXI



Tego ranka Krzysztof siedział w swoim biurze kompletnie sam. Kawa stygła od siódmej rano, a z radia płynęły stare bluesy Niebiesko-Czarnych, które przed laty kochali jego ojciec i zapewne matka, ale jej niestety Kris nie pamiętał.

Krzysztof wstał, podszedł do ściennego kalendarza i przesunął czerwoną, plastikową kratkę na sobotę, 2 lipca 2016.

Tylko pięć dni zostało wyznaczonemu płatnemu zabójcy do końca terminu, a nic się nie działo. W międzyczasie Krzysztof poznał szefa ABW, pana Kulczyńskiego, który zrobił na nim bardzo dobre wrażenie człowieka uczciwego, o co w roku 2016 nie było łatwo.

Kulczyński był z nim bardzo szczery, ale w swoim dochodzeniu opierał się tylko na „ich” pendrivie i jak dotąd

nic nowego nie odkrył. Policja i służby były już zmęczone i znużone ciągłym „czerwonym alertem”, mundurowi zaczęli sobie nawet pozwalać na żarty z przełożonych.

Policja i wszystkie możliwe służby strzegły prezydenta, jego siedziby i całej Rady Ministrów z najwyższą uwagą. Ich biura, mieszkania, auta, helikoptery i samoloty były przeszukiwane codziennie. Przy okazji wykryto wiele zaniedbań i usprawniono niedoskonałe procedury, uprzedzono wszystkie osoby, które mogłyby być ewentualnym celem ataku, a podwójna ochrona towarzyszyła głowie państwa podczas wszystkich wizyt.

Nie było to łatwe, bo nowy, najmłodszy na świecie prezydent był urodzonym wodzem, spontanicznym i przemawiającym z serca, bez kartek, wchodzącym w serdeczne kontakty ze słuchaczami, niebojącym się nawet najbardziej niewygodnych pytań.

Tak, ten zabójca musiał być kimś z najwyższej półki, a tacy ludzie znają wszystkie metody ochrony na pamięć i potrafią wszystko przewidzieć.

Jak, gdzie i kiedy uderzy?

Zostało pięć dni. Prezydent miał jeszcze tylko dwa krajowe spotkania i jedno zagraniczne, ale w ramach Unii. I potem szczyt NATO. Jeśli nic się nie stanie, to Krzysztof i Kulczyński wyjadą na głupków, a pendrive na fałszywy.

Co bym zrobił, jakbym był płatnym zabójcą?

Krzysztof spróbował sobie wyobrazić, że dostanie za to

zabójstwo jakąś niewyobrażalną sumę pieniędzy, na przykład milion złotych.

Niestety jego wyobraźnia nie sięgała ponad to, co już miał, czyli rodzinę i domek.

Może jakiś fajny wóz, kombinował. Wrócił wspomnieniami do garaży Kosowskiwego.

Mustang? Zbyt rzuca się w oczy.

Te amerykańskie? Z Teżajn?

Cadillac, oldsmobile, chrysler, dodge?

Nie, nie pasują do naszych dróg.

Porsche cayenne, carrera?

Bałby się takiego zostawić na ulicy.

Głupi pomysł z tymi samochodami i z tą całą fortuną.

Ale jakby miał to zrobić, gdzie, kiedy i jak by to zrobił?

Strzelałby z broni krótkiej, na jakimś spotkaniu z ludźmi. Jak to było z próbą zabójstwa papieża?

Ale ochrona nie jest głupia, osoba chroniona zawsze jest zasłonięta kimś wyższym, kto cały czas się rozgląda, a w razie potrzeby ochroniarze rzucają „cel” zaraz na ziemię, zasłaniając go własnymi ciałami w kamizelkach kuloodpornych. Trzeba być desperatem, żeby próbować w ten sposób.

Wszedł w Google Maps i wystukał „pałac prezydencki Warszawa”. Jakby jakiś idiota próbował zaatakować przed

pałacem, miałyby marne szanse.

Ogromny plac, mało budynków naprzeciw, na miejscu ochrony na galerijce na dachu umieściłby paru snajperów i „cel” byłby nie do ruszenia. Tylko idiota by tak atakował, mowy nie ma.

„W promieniach słońca...” – krzyczał z radia Wojciech Korda w pięknym, smętnym bluesie.

W tym momencie zadzwoniła komórka.

- Krzysztof? Tu Zdzisław – głos w komórce zamilkł, a Krzysztof wysilał pamięć, kim może być ten Zdzisław.

- Z Warszawy? – wystękał w końcu. – Przepraszam, nie słyszałem dotąd, jak brzmisz przez telefon.

- Jasne. Powiem ci coś na pociechę, choć w sumie to żadna pociecha. Polski wywiad doniósł mi, że ich agent potwierdza istnienie planu zamachu na polskiego prezydenta. Robi się z tego *real!*

- I mamy coraz mniej czasu. Dzięki, to straszna wiadomość, ale mimo wszystko ulżyło mi, że nie wyjdziemy na głupków.

- Mi też. Więc do roboty!

... „Tylko tutaj będziesz mieszkał, pracował, kochał i umierał, zostaniesz tu, bo nie zgubisz po drodze nostalgii swej!”... – Wojciech Korda zakończył bluesa, a Krzysztof włączył znowu Google Maps.

ROZDZIAŁ XXII



-Dziadek, jesteś w domu? - Mandel wpadł w chwilową panikę, bo spał i krzyk go obudził, zaraz przypomniał sobie jednak, że przecież sam dał klucz do mieszkania swojej szesnastoletniej wnuczce Patrycji, jedynej osobie w jego rodzinie, która go lubiła.

Ach, to imię, „Patrycja”. Mówił córce, że imię Patrycja nie pasuje do nazwiska Grzybek, które miała po mężu, ale nie chciała go słuchać. W końcu rozwiodła się z Grzybkiem i wyszła za Paździucha, tyle że imię „Patrycja” wnuczka musiała nosić dalej.

- Wejdz, Patrycyjko, zrób sobie coś do jedzenia albo włącz

telewizor, a ja dokonam codziennej ablucji, żeby cię nie wystraszyć! – stał już w łazience przed lustrem.

Wczoraj nic nie pił, ale twarz dalej była obrzękła, oczy zaś czerwone. Włosy zaczesał do tyłu. Tydzień temu zaczął zapuszczać siwą brodę, żeby być choć trochę modny jak cała „warszawka”, niestety, z tygodniowym zarostem wyglądał jak bezdomny menel, który w supermarkecie odstawia wózki za złotówkę.

Westchnął, wycisnął na twarz piankę i ogolił pokryte czerwonymi żyłkami policzki, potem obficie polał je wodą kolońską.

Po chwili wkraczał już do wielkiej kuchni, gdzie wnuczka kończyła układanie brudnych naczyń w zmywarce. Usiadł przy stole, a ona przetrąła blat i postawiła na nim świeże, przyniesione przez siebie bułki, ser, masło i powidła.

– Co słyszeć, dziadku? Jak się czujesz?

– Wiesz, jak to w polityce – oficjalnie nie był już politykiem, stracił wszystkie stanowiska po ostatnich wyborach, ale do tego nigdy by się wnuczce nie przyznał. Posmarował bułkę masłem, a Patrycja postawiła przed nim kubek kawy.

– A ten nowy prezydent, który łamie prawo? Co z nim? Nie możesz go odsunąć od władzy? Przez niego ciśnienie ci podskoczyło!

– Mam nadzieję, że uda się go odsunąć. Może już niedługo. Którego dzisiaj mamy?

- Jak to którego? Zawsze przychodzę w niedzielę. Trzeci lipca dzisiaj, dziadku!

- Niedziela, trzeci... - powtórzył machinalnie. - Tak, może go odsunę w końcu... Z tą całą jego bandą.

Po śniadaniu poszli razem na długi spacer nad Wisłę. Była piękna pogoda, słońce błyszczało i odbijało się w wodzie pod mostami.

Usiedli na ławce i wtedy Mandel pomyślał, że dalej musi być taki „wielki” i znaczyć coś choćby dla niej, Patrycji, jedynej osoby, która go lubi. Czy kocha, bał się nawet myśleć. Zresztą - co to za słowo?

Tak, zrobię wszystko. Właściwie, co mam do stracenia? - myślał. No tak, trochę mam. Jak wyda się ta afera, do której tamci w końcu i tak dojdą, to stracę nie tylko dwanaście tysięcy emerytury, ale i wolność. Nie, nie można do tego dopuścić!

Dyskretnie odwiózł Patrycję pod dom swojej córki. Dyskretnie, bo ta zabroniła wnuczce kontaktować się z dziadkiem. Już po chwili siedział przy swoim biurku. Wyjął z szuflady „ten” telefon.

Wybrał numer Krawtza.

- Co jest, Krawietz? Dzisiaj trzeci lipca i ciągle nic!

- Będzie pan miał, za co pan zapłacił, panie Mandel.

Mandel zeszywniał.

- Co, dziwi się pan, że już wiem, kim pan jest? Wiem dużo

więcej. Wiem, jak pan zagroził miliony na oszustwie. Jakby co, pójdzie pan na długie lata do więzienia, nie?

Mandel dalej milczał.

- Ale pghoszę się nie bać. Ja jestem solidna fighma. Mamy jeszcze tghochę czasu, nie? Dostanie pan, za co pan zapłacił. I będzie pan dziękował Bogu, że już nie jest z pana żaden ważny człowiek. Żegnam!

Rozmówca się rozłączył, a spocony ze strachu Mandel siedział nieporuszony jeszcze przez dziesięć minut.

Potem wstał i nalał sobie wielką szklanę whisky.

ROZDZIAŁ XXIII



W biurze detektywa Krisa było tego dnia ciemno, siedzieli więc z Kasią przy swoich biurkach przy zapalonych lampach.

- Przepraszam cię, Kasiu - powiedział Krzysztof, kładąc nogi na krawędzi biurka - ale tak mi się lepiej myśli.

I zamyślił się natychmiast, patrząc, jak Kasia zmienia datę na ściennym kalendarzu na 4 lipca 2016 roku.

Prezydentowi zostały jeszcze dwie krajowe wizyty, a potem siódmego ten cały szczyt NATO.

Krzysztof nie miał wątpliwości, że zamachowiec dokona zamachu, a w każdym razie będzie próbował. Kulczyński przecież poinformował ich, że agencja wywiadu, czy jak im tam, powiadomiła ich z niezależnego źródła, iż zamach jest przygotowywany.

Czuł, że rozpoczęła się gra między nim a zamachowcem, mało tego, czuł, że go zna, że gdzieś się już z nim zetknął.

Czy to może ten z „Sex Centre” z Hamburga? Pojechali za nim wtedy i po kilkunastu minutach dojechali do jakiejś willowej dzielnicy nad samą rzeką.

Kierowca SUV-a otworzył wtedy automatycznie bramę w jakimś wysokim murze, zniknął i tyle go widzieli. Czekali pod murem przeszło dwie godziny, ale nic się nie działo.

W końcu doszli do wniosku, że Krzysztof mógł się pomylić w kwestii samochodowego zegara, a kierowca to jakiś wystraszony mąż, który założył kaptur, żeby nikt nie poznał go w burdelu.

Należało jednak coś zrobić. Kulczyński brał ich bardzo serio i na pewno zawiadomiłby ich, jakby coś się wydarzyło.

Gdzie może być teraz zamachowiec? Najpewniej w Polsce, zważywszy, że prezydentowi zostały jeszcze tylko dwie krajowe wizyty.

Krzysztof spojrział na kartkę przygotowaną przez Kasię. Wypisane były tam wizyty prezydenta na cały lipiec.

Większość z nich została skreślona jako już odbyte.

Pozostały wizyty w Sanoku i w Koninie. Prezydent podobno zapomniał odwiedzić te miejscowości, kiedy jeździł po Polsce podczas kampanii wyborczej, a zawsze, jak sam zapewniał, dotrzymywał słowa.

Krzysztof bardzo wątpił, czy w te miasta były dobrymi

miejscami do dokonania zamachu.

ABW, policja i Bóg wie, kto jeszcze, przekopali wszystkie hotele, prywatne kwatery. Zebrano wszystkie plotki z internetu, informacje uzyskane z telefonów komórkowych osób podejrzanych, wyniesiono z miejsc spotkań z ludnością wszystkie kosze na śmieci, zrewidowano wszystkie potencjalnie niebezpieczne instalacje.

Pozostawała Warszawa. Tu będzie największy ruch, setki dziennikarzy z akredytacjami, wozy transmisyjne wszystkich możliwych telewizji, do tego demonstracje przeciwników i zwolenników.

Czy służby przekopały wszystkie hotele w Warszawie? Albo lepiej, czy Kulczyński obserwował Kosowskiego?

Przecież skoro Kosowski kontaktował się z zamachowcem, to zamachowiec mógł mieszkać u Kosowskiego. Przecież teoretycznie Kosowski mieszkał sam.

Tak, trzeba zadzwonić do pana Zdzisława i zapytać.

W tym momencie zabrzmiał telefon.

- Krzysiu, napięcie idzie w górę, powietrze gęstnieje, coś mi się zdaje, że chcą zrobić ten zamach w Warszawie - głos Karola uspokoił Krzysztofa. Ktoś oprócz niego doszedł do tych samych wniosków.

- Też tak myślę. I właśnie kombinuję, gdzie zamachowiec mógł się ukryć. ABW chyba obserwuje hotele, ale u Kosowskiego?

- Gadałem z nimi. Kosowski był obserwowany, ale w jego mieszkaniu nikogo teraz nie ma. Wyjechał na Chorwację.

- No to od czego zacząć?

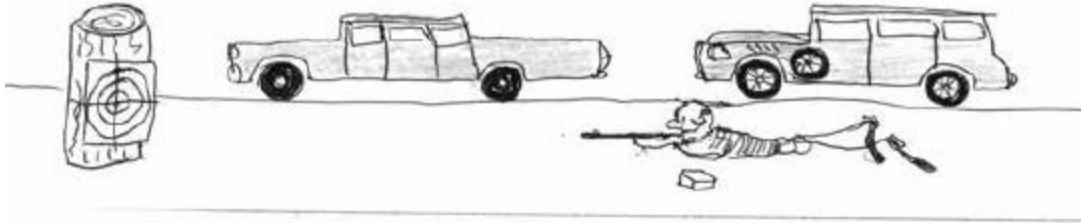
- Nie wiem sam. Pomodlić się o szczęście.

- To ty się pomódl, a ja się zastanowię, jak chronić prezydenta. *Bye!*

Podszedł bliżej do swojej sekretarki.

- Kasiu, zamów mi przez internet czarny T-shirt z napisem CBS na plecach - Kasia spoglądała na niego z uwagą, jakby chciała się upewnić, czy nie potrzebuje lekarza. - I jeszcze policyjną czapkę, taką bejsbolówkę, czarną z orłem, oraz żółtą sygnałową kamizelkę z napisem „POLICJA” na plecach. Termin dostawy na jutro!

ROZDZIAŁ XXIV



Do Teżajn przyjechali o drugiej w nocy. Wokół panował kompletny bezruch, ale i tak ostatni kilometr przejechali na zgaszonych światłach.

Team powybierał sobie pokoje, niektórzy w kuchni coś zjedli i poszli spać.

Tylko Werner obchodził dom i podwórze dokładnie. Zawsze marzył o takiej rezydencji, ale nigdy nie było go na to stać. Cała posiadłość miała chyba kilka hektarów i szeroki dostęp do jeziora.

Kiedy wszedł do garażu, aż gwizdnął z zachwytu. Obejrzał dokładnie wszystkie auta, do niektórych nawet wsiadł. A potem sprawdził kluczyki wiszące w szafce na ścianie.

Później zmierzył krokami długość garażu. Wyszło mu dwadzieścia trzy. Wrócił do kuchni, ustawił na piecyku garnek z kilkoma parówkami i zaniósł swój bagaż do pokoju.

Wrócił do kuchni, zjadł i napił się mleka.

Potem przesiadł się na fotel w salonie, zapalił cygaro i zaczął rysować coś na kawałku papieru.

W końcu zszedł jeszcze raz do garażu i stanął przy wielkim cadillacu w rogu. Następnie włączył swojego smartfona i szukał czegoś dobrą chwilę. Kiedy znalazł, uśmiechnął się do siebie zadowolony. Potem jeszcze zdjął z haczyków kilka zestawów kluczyków do aut, wsiadł do czarnego oldsmobile'a, a później do wielkiego czarnego chevroleta. W chevroletcie przekręcił kluczyk i usłyszał piękną muzykę idealnie pracujących ośmiu cylindrów. Olej, paliwo, bateria też były w porządku.

Wysiadł z auta i otworzył jego bagażnik, podniósł pokrywę koła zapasowego.

Wrócił do oldsmobile'a i cadillaca i też sprawdził im bagażniki.

Potem, jakby nagle postanowił coś ważnego, zgasił światło w garażu i poszedł na górę. Rozebrał się i nalał sobie szklaneczkę whisky „Royal Salute, 25 years old”. Włączył telewizor, żeby posłuchać wiadomości.

Wszystkie stacje gorączkowały się szczytem NATO i wizytą wielu znamienitych gości, a szczególnie prezydenta Obamy.

Jakiś wysoki rangą policjant chwalił się, ile godzin jakich ćwiczeń odbyli.

Ilustrował to film – jak obezwładniają z pomocą psów

jakichś ludzi, którzy grali terrorystów.

- Zobaczymy, jakie z was kozaki - powiedział do siebie i dopił balsam ze szklaneczki.

Wyjął telefon i wystukał numer specjalnego, nielegalnego składu z zaopatrzeniem w Szczecinie.

Umówił się na dostawę zamówienia kurierem do niedalekiej miejscowości Bryzgiel, w północno-wschodniej Polsce, nad Wigrami, za piętnaście godzin.

Potem otworzył neseser i po chwili otoczył go kłąb dymu z cygara.

Patrzył na przygotowania do szczytu w telewizji, popijał whisky, palił cygaro i był w coraz lepszym humorze.

Plan krystalizował mu się w mózgu, wszystko pasowało jak w szwajcarskim zegarku.

Poranna odprawa była krótka. Werner powiedział do siedzących w fotelach szoferów i strzelców: - Takie są moje rozkazy. Żadnych wyjść na zewnątrz, za mur. Wszystko potrzebne do życia macie tutaj. Jak będzie chodziło o coś ważnego, pytać mnie. Tu macie fotografie naszego celu - rozdał im po zdjęciu wielkości pocztówki.

- Żadnego alkoholu, palić tylko w pomieszczeniach. Teraz wszyscy za mną - poprowadził ich na dół do garażu.

- Zorganizujcie sobie jakiś pień drzewa jako cel, widziałem takie na zewnątrz, ustawcie go pod ścianą

i przestrelajcie broń. Drzwi i bramy mają być zamknięte, nie muszę wam chyba tego tłumaczyć. Pytania?

- Z jakiej odległości będziemy strzelać? - spytali prawie jednocześnie Helmut i Egon.

- Z około dwudziestu metrów. Albo i z mniej niż dwudziestu. Tu mamy od ściany do ściany dwadzieścia trzy kroki. Na akcję jedziemy za trzy dni. Tam poczekamy dzień i uderzamy siódmego lipca.

Strzelcy skierowali się do wyjścia, żeby znaleźć odpowiednio gruby pień, a Krawietz poszedł do salonu coś jeszcze sprawdzić w internecie.

ROZDZIAŁ XXV



Jan Mandel siedział w swoim salonie w wielkim fotelu przy włączonym telewizorze i był bardzo niespokojny.

Niespokojny to mało powiedziane. Od rozmowy z Krawtzem wpadł w panikę. Żałował, że dał się wciągnąć w cały ten zamach zamiast żyć sobie spokojnie za swoją wysoką, pewną emeryturę i chodzić co niedziela z wnuczką Patrycją na spacerzy nad Wisłę, a może w przyszłości i z jej dzieckiem?

Kiedyś liczył, ile ma zapasów finansowych, i wyszło mu, że jakby dożył dziewięćdziesiątki, to mógłby spokojnie wydawać tysiąc złotych dziennie. A miał dopiero 68 lat.

Tak, to ślepa nienawiść do Kulczyńskiego i „Małego”, szefa zwycięskiej partii „frajerów”, spowodowała, że tak ochoczo włączył się w organizację zamachu. Teraz, kiedy okazało się, że ta szuja, Krawietz, wie o nim aż tyle, szczerze

wszystkiego żałował i czuł się bardzo zmęczony.

A jak się nie uda i Krawtza złapią?

Wtedy koniec z nim.

Koniec, wtedy chyba ze sobą skończy. Już widział sąd i sędziego czytającego wyrok, a wśród widzów stojących, uśmiechniętych Kulczyńskiego i „Małego”.

Kulczyński znał się z „Małym” jeszcze chyba ze studiów. Wszyscy byli na tym samym roku, ale tamci na prawie karnym.

Nie, nie, nawet wtedy to jeszcze nie może być koniec. Wstał z fotela, napił się wody i przysunął fotel do regału. Wlazł na siedzisko i przesunął dłonią po szczycie półek.

Namacał Tetetkę, zszedł z fotela, wytarł ją z kurzu i przeładował.

Wsadził pistolet do kieszeni i zjechał do piwnicy, do garażu.

Oprócz jego BMW stała tam jeszcze pięcioletnia, ale nigdy nieużywana toyota avalon. Mandel odszukał kluczyk i otworzył samochód.

Ze schowka wyjął paszport, prawo jazdy i dowód rejestracyjny na nazwisko Franciszek Misiak.

Odpalił motor.

Zapalił od razu. Bak pełny – auto było gotowe do ucieczki.

Nie, to jeszcze nie wszystko. Wrócił windą do mieszkania.

Podniósł siedzenie jednego z foteli i wyjął z wnętrza paczkę dokumentów.

To była jego gwarancja bezpieczeństwa, wszystkie kanty i kradzieże jego kolegów, dowody zdobyte podczas pijaństw i „szczerych” rozmów. Teraz to może się przydać. Jeśli go zamkną, jest szansa, że da się tym pohandlować o lepsze traktowanie.

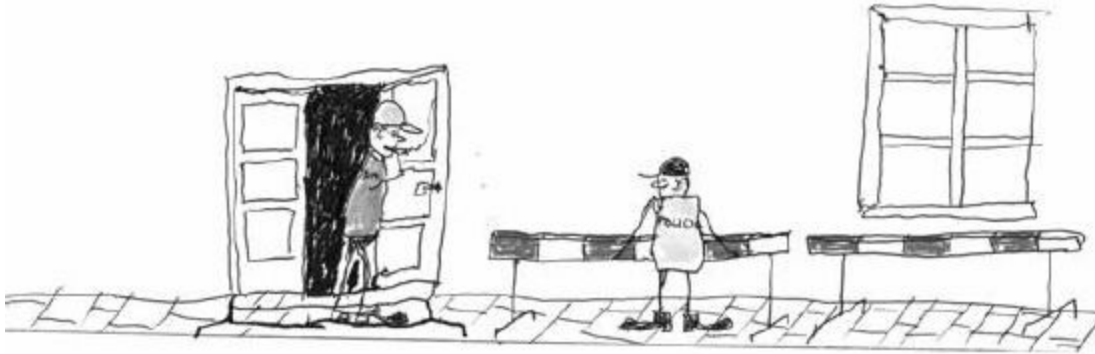
Chciał wszystko kiedyś zdeponować za granicą, ale w tej sytuacji...

Całą pakę wsadził w czarny worek na śmieci i zjechał do garażu. Zapakował paczkę do bagażnika, przykrył kocem, zamknął auto, poklepał je po dachu i wrócił na górę.

W mieszkaniu zjął z szafy w sypialni wielką, skórzaną, żółtą walizę i zaczął się pakować. Na wierzch położył smoking i lakierki. Nie wiadomo, kiedy wróci i czy w ogóle.

- No, to do boju - powiedział do siebie i dopchnął walizę kolanem.

ROZDZIAŁ XXVI



Słońce oświetlało ogromny dziedziniec pałacu i odbijało się tysiącem refleksów w pałacowych oknach.

Na środku placu ustawiono pokryty czerwonym dywanem podest dla prezydenta, rządu i gości. To miało być powitanie prezydenta Obamy, szefa niewątpliwie największej armii i największego sojuszu świata.

Tłumy ludzi czekały cierpliwie oddzielone białoczerwonymi barierkami, błyskając lornetkami i aparatami fotograficznymi.

Krzysztof w czarnych spodniach, zwanych potocznie bojówkami, czarnych wojskowych butach, policyjnej bejsbolówce i żółtej sygnałowej kamizelce z napisem „POLICJA” na plecach kręcił się w pobliżu lewego skrzydła pałacu.

Czuł jakieś dziwne napięcie i męczyło go przeczucie, które go tu przywiodło. Przepatrzył całe Krakowskie Przedmieście, wszędzie na dachach za kominami widział dyskretne sylwetki obserwatorów i snajperów. Dwóch dostrzegł nawet na attyce pałacowego dachu.

Nie widział możliwości oddania strzału skądkolwiek. Przestrzeń powietrzna była zamknięta nad całą Polską. Jedynym miejscem, skąd można było oddać strzał, był sam pałac.

W tym przebraniu nikt go nie zatrzymywał, podszedł więc do samej ściany budynku, udając, że coś poprawia przy białoczerwonej barierce.

Niespodziewanie drzwi pałacowe znajdujące się pięć metrów od niego uchyliły się i stanął w nich młody mężczyzna w szarym uniformie z napisem „Ochrona Pałacu”.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego, z wyraźną przyjemnością wydmuchując dym na zewnątrz.

Krzysztof podszedł do niego.

- Cześć pracy, jak leci, kolego?

- Oj, żeby to już było po wszystkim. W środku jest całkowity i bezwzględny zakaz palenia i wszędzie te czujki przeciwdymowe, jak taka poczuje dym, nawet z papierosa, podnosi alarm! Każde pomieszczenie w pałacu trzeba odwiedzać co piętnaście minut - z okazji wizyty skrócili czas - i specjalnym kluczem resetować przycisk. Przy okazji sprawdzamy oczywiście każde pomieszczenie pod względem

obecności zamachowca. Szał!

- Tak, wiem. Sam kiedyś paliłem. Nie wpuściłbyś mnie na chwilę do środka do toalety na siku?

- Nie ma sprawy, wchodź. Tam, na końcu korytarza, na lewo. O, kurde, muszę lecieć zresetować przycisk przeciwpożarowy. Jak nie zdążę, włączy się alarm... - spojrzał w panice na zegarek. - Jak będziesz wychodził, zatrzaśnij drzwi zewnętrzne - powiedział i już biegł korytarzem do swojego przycisku.

Krzysztof szedł korytarzem, zwracając szczególną uwagę na drzwi od strony dziedzińca. Było ich wiele, ale mniej więcej pośrodku korytarza spróbował otworzyć jedno z nich. Miały numer 46.

Zajrzał ostrożnie do pomieszczenia. Był to umeblowany skromnie pokój, który wyglądał na jakieś biuro.

Kris podszedł do okna. Na podeście powitalnym stało już kilkanaście osób. Pokój miał jeszcze dwoje dodatkowych drzwi po bokach. Na ścianie czerwienił się nastawiony na 15 minut przycisk. Ochrona miała resetować go co 15 minut, inaczej włączał się alarm, kontrolowany chyba z jakiejś „centrali”.

Jedne drzwi były zamknięte, a drugie prowadziły do następnego, prawie identycznego pokoju.

Okno tego drugiego pokoju było idealne, żeby dokonać z niego zamachu - podest było widać pod kątem bardzo wygodnym do strzału. Pierwszy rząd witających, więc tam,

gdzie powinien stać prezydent, widać było perfekcyjnie. Ale podest zapełniony był na razie najwyższą połową gości.

Tu przycisk też właśnie zresetowano.

Kris ostrożnie wycofał się na korytarz, ale zaraz podbiegł szybciej i schował się w toalecie, ponieważ usłyszał zbliżający się odgłos kroków kilku osób. Odczekał kilka minut i znowu wyrzwał na korytarz. Otoczenie wyglądało spokojnie, jakby wszyscy przyglądali się uroczystości.

Ale kiedy chciał wejść do następnego pokoju, usłyszał znowu zwielokrotnione echem kroki i czyjąś rozmowę.

Odskoczył, otworzył drzwi z napisem „Pomieszczenie służbowe” i schował się w środku.

Pomieszczenie nie miało okna, zapalił więc światło. Na podłodze leżało rozebrane do bielizny ciało młodego mężczyzny z nienaturalnie wykręconą głową. Dotknął go – było zimne.

Zabójca był więc w pałacu, prawdopodobnie przebrany za ochroniarza.

Krzysztof odczekał chwilę, aż hałas na korytarzu ucichnie, i wymknął się znowu na korytarz.

Otworzył drzwi naprzeciw pomieszczenia służbowego.

Na podłodze w tym pokoju leżał ogromny perski dywan, a jedynym meblem było puste krzesło stojące pod oknem. Przycisk alarmu był zresetowany.

Stąd widok na podium powitalne był chyba najlepszy. Na

czerwonym dywanie stało już kilkadziesiąt osób, brakowało tylko prezydenta.

Obok okna stał włączony telewizor, który pokazywał bezpośrednią transmisję sprzed hotelu, w którym nocował Obama.

Przed wejściem tego hotelu stała kolumna amerykańskich, wielkich, czarnych aut. Krzysztof podszedł bliżej telewizora i przyjrzał się limuzynie na czele kolumny.

Nagle zrozumienie jak piorun przemknęło przez jego głowę.

Szybko wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer Kulczyńskiego.

- Szefie, chyba wiem, jak chcą zastrzelić prezydenta. Jestem w pałacu i jeden z zamachowców też jest tutaj. Znalazłem ciało zamordowanego ochroniarza, zabójca jest najprawdopodobniej w mundurze ochrony. Ale nie to jest najważniejsze - szeptem mówił do szefa jeszcze przez kilkanaście sekund.

Potem schował telefon i znów podszedł do okna. W odległości kilkuset metrów zauważył kłębiący się za barierkami tłum i nagle ciemność otuliła jego głowę.

Przytomność i straszny ból głowy wracały, burząc ciemność i ciszę, w których do tej pory wisiał. Nie mógł się ruszyć, ale świadomość wracała.

W końcu otworzył oczy.

Siedział na krześle przymocowany do niego mocną, płócienną taśmą klejącą.

Krzesło obrócone było do okna tak, że doskonale widział dziedziniec pałacu.

- Co tu ghobiłeś? Chciałeś mnie złapać? - znany mu głos pytał natarczywie i głośno.

Krzysztof z wysiłkiem obrócił głowę w lewo.

Na krześle obok siedział mężczyzna. Był mniej więcej jego wzrostu, ostrzyżony na jeża, w mundurze ochroniarza.

- To pan. Ten z Hamburga, z garażu! - wystękał.

- Też cię poznaję. Jesteś detektyw?

- Tak. Z zamachu nic nie będzie. Powiadomiłem ochronę!

- Za późno. Wszystko będzie, jak planowałem.

- Gdzie pan ma broń?

- Bghoń? Kaghabin? - zaśmiał się. - To jest moja bghoń - wskazał telefon leżący na parapecie.

- Boże, chce pan ich wszystkich wysadzić?

- Tak, a ty będziesz na to patrzył, dobrze widzisz?

- Kto jest w samochodach?

- Moje szofeghy, moje zamachowcy. Razem z nimi wyleci w powietrze cały rząd polski i pghezydent!

- Wyjątkowy z pana skurwysyn.

- Są jeszcze goghsze. A ja za dwie godziny będę w domu.

- Wiem, mieszka pan w Hamburgu nad rzeką.
- Skąd to wiesz?
- Bo pana śledziłem.

W tym momencie tłum z jednej strony zafalował i zza rogu wyłonił się ozdobiony polskim i amerykańskim proporczykiem wielki, czarny cadillac prezydenta Obamy.

Tuż za nim sunęły dwa podobne auta. Karawana jechała prosto przed podium powitalne ze stojącym w pierwszym rzędzie prezydentem.

Nagle z dwóch przeciwległych rogów placu rozległ się ryk silników pracujących na najwyższych obrotach i na środek wyskoczyły dwa hummery w barwach wojskowych, ozdobione sylwetkami w czerni z bronią gotową do strzału. Auta rwały do przodu na zderzenie z cadillakiem i oba zahamowały przed jego maską.

Karawana trzech czarnych aut zahamowała, prawie wpadając na siebie, a po chwili postacie z podniesionymi rękami wysiadały już z prezydenckich aut.

- *Scheisse!* - ryknął Krawietz i spojrzał wściekły na Krzysztofa.

Kopnął krzesło i uciekł na korytarz.

Krzysztof patrzył na wszystko jak na film sensacyjny. Po dwóch minutach drzwi pokoju otworzyły się i wkroczyli, ubezpieczając się wzajemnie, antyterrorysty.

- Tamten uciekł! Tylko ja tu jestem - zawołał do nich

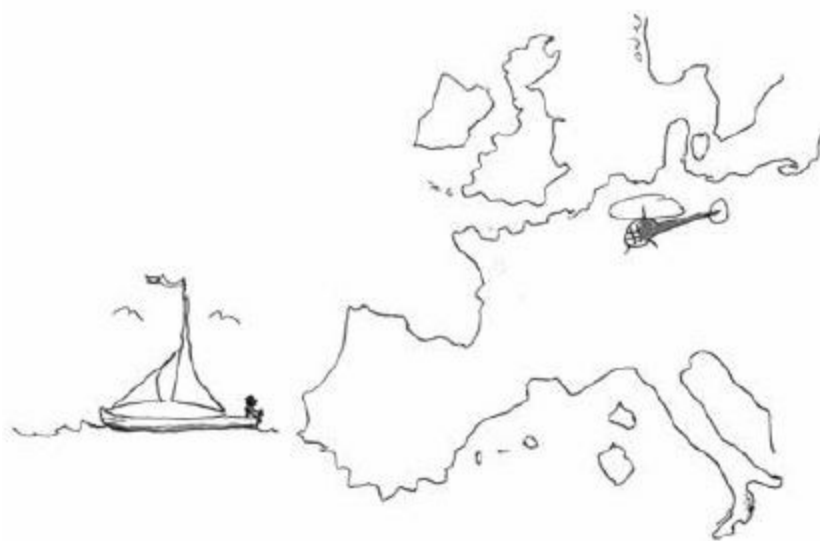
Krzysztof.

Karol zaczął przecinać plastry krępujące Krzysztofa, ale ten powiedział:

- Potem mnie uwolnisz. Słuchajcie wszyscy, w autach podłożone są ładunki wybuchowe. To tak miał wyglądać zamach! Ci ludzie w autach nic o tym nie wiedzieli. Myśleli, że mają przeprowadzić normalny zamach. No, że mają strzelać. A ich szef zaminował auta i planował, że jak konwój podjedzie do podium, wysadzi ich przy pomocy tego telefonu - wskazał brodą telefon na parapecie. Wołajcie saperów!

Krzysztof spojrział na telewizor. Na ekranie widać było, jak prezydent Obama w otoczeniu ochrony wsiadał właśnie do swojego cadillaca przed wejściem hotelu.

ROZDZIAŁ XXVII



Krzysztof i Karol siedzieli u Kulczyńskiego w prywatnym mieszkaniu, odprężeni, pomagając sobie kieliszkiem wina. Był siódmy lipca 2016 roku, godzina 20.00.

Byli wyczerpani po południowej akcji i w zasadzie wszystko już sobie wyjaśnili.

Zmieniono trochę protokół i Obamę przywitano w innym miejscu, bo po wydarzeniach na dziedzińcu pałacu wszystkich ewakuowano, a rozbijanie ładunków wybuchowych podłożonych w fałszywym konwoju musiało potrwać kilka godzin.

Konwój ten został przygotowywany w warszawskim garażu Kosowskiego i wyjechał kilka minut przed tym

autentycznym.

Strażnicy bocznej ulicy byli zaskoczeni zmianą trasy przejazdu, ale widząc słynną „Bestię”, jak zwano cadillaca Obamy, ozdobioną proporczykami, i dwa towarzyszące mu wozy, sprawnie odsunęli zagrodę i wpuścili auta na Krakowskie Przedmieście, przeklinając służby, że nie uprzedziły ich o zmianie trasy.

Szczyt NATO rozpoczął się i towarzyszyły mu codzienne rutynowe i dawno ustalone procedurami działania służb.

- No, to Kosowkiemu nie radziłbym wracać z tej Chorwacji - powiedział Karol.

- Myślę, że więcej będzie teraz bezpowrotnych wyjazdów - dodał Kulczyński.

- Nie możecie ich przyskrzynić, skoro już coś wiecie? - spytał Krzysztof.

- Możemy, nie możemy, jest prawo, są kodeksy, dowody i w ogóle prawa człowieka... ale co możemy, to na pewno zrobimy.

- A ten Sprotte? Kiedy zaczęliście pościg za nim?

- Krawietz? No tak, miał drugie nazwisko: Sprotte. Odkąd tylko opuścił pałac, wszystkie służby Interpolu go szukają. Będzie wiał chyba na Zachód, choć i na Ukrainę też może. Trochę się dziwię, że jeszcze go nie złapali. To już ponad dziesięć godzin od zamachu - stwierdził Kulczyński.

W tym momencie staromodnym dzwonkiem zadzwonił

telefon i Kulczyński zaraz podszedł do biurka w rogu pokoju.

- Kulczyński, Warszawa - powiedział.

Patrzyli na niego, a jego twarz zwiastowała, że słucha jakichś zdumiewających nowin.

- *Incredible!* - powiedział w końcu. - *Okay, I consider and let you know* - położył słuchawkę czerwonego telefonu.

- Już go znaleźli! - powiedział Kulczyński. - Interpol już go nie szuka.

- Jak to, gdzie był? - zapytali chórem.

- No właśnie. Ciągle jest. Właściwie wisi w swoim helikopterze nad elektrownią atomową AKW Stade, niedaleko Hamburga, na lewym brzegu Elby! Grozi, że rozbije helikopter o reaktor, powodując groźbę radioaktywnego zanieczyszczenia całej Europy, o ile nie spełnią jego żądań.

- Coś takiego, a ja myślałem, że tak ładnie i szczęśliwie wszystko się skończyło! - zażartował gorzko Krzysztof.

- Jeszcze jakieś newsy? Po co w zasadzie dzwonili? Już ogłaszają alarm radioaktywny? - spytał Karol.

- Słuchajcie, dzwonili, bo ten Krawietz to w sumie Polak. Oni tam z nim negocjują i chcieli wiedzieć, czy może mamy jakieś informacje o nim, które mogłyby pomóc w negocjacjach. Są bardzo zdenerwowani.

- Wcale się nie dziwię, ja też się boję. Co to tam się łykało po wybuchu w Czarnobylu? Jakies tabletki z jodem? Trzeba

się zaopatrzyć...

- Na razie pomyślmy, jak im pomóc - rzekł Kulczyński, kładąc na stoliku teczkę, w której znajdowało się wszystko, co wiedzieli o Krawtzu vel Sprottem.

-Żądam myśliwskiego samolotu z pilotem i pełnym zbiornikiem paliwa. To nie koniec. Jak podstawicie samolot, macie odprowadzić wszystkie pojazdy na dużą odległość od niego. Zakładnik ma stać obok samolotu, jak zaczniecie coś kombinować, zastrzelę jego i siebie.

Werner Krawietz patrzył na monitor, który pokazywał obraz z dwóch kamer na brzuchu helikoptera. Było już późne popołudnie, biała kopuła i budynki elektrowni w blasku zachodzącego słońca były różowe.

Całą elektrownię otoczyły wozy bojowe Bundeswehry i migające światłami pojazdy policji.

- Dobrze, ale to wymaga trochę czasu - powiedział do mikrofonu Wolfgang Stanke.

- No to się pośpieszcie. Mam paliwa na osiem, nie, już siedem i pół godziny. Potem zrobię wielkie bum! - Krawietz przysięgłby, że ten bez hełmu koło bojowej ciężarówki to właśnie jego rozmówca.

- Trzeba robić, co każe. Na razie nie mamy wyjścia - powiedział Wolfgang do negocjatora policyjnego.

- Nie śpiesz się pan. Daj pan mikrofon - negocjator wziął podany mikrofon i zawołał. - Krawietz, zginie pan i mnóstwo

ludzi. Nie ma pan tu żadnych krewnych, przyjaciół?

- Nie mam i nic mnie to nie obchodzi. Wolę umrzeć, niż gnić do końca życia w więzieniu.

- Dobrze, daj nam trzy godziny. Tyle trzeba na sprowadzenie myśliwca Bundeswehry na pas startowy w okolicach fabryki Airbusa dwadzieścia kilometrów stąd.

- Wiem, gdzie to jest, ale pośpieszcie się, zostanie jeszcze paliwa na trzy, cztery godziny i będzie bum!

Siedzieli w fotelach. Za oknem było już ciemno, a oni kombinowali, co można podesłać Interpolowi, żeby dać im jakiś argument do negocjacji.

- No i co? Burza mózgów? A ja myślę, że coś mam! - powiedział nagle dumny z siebie Krzysztof.

- Mów, do cholery - Kulczyński nie mógł się już doczekać.

- Karol, pamiętasz? Mówiłeś, że Krawietz ma syna z jakąś Filipinką. I nic o tym synu nie wie, bo urodził się już po jego zniknięciu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym?

- Tak, to prawda - Karol klepnął się w czoło. - To może być zwrot w całej sprawie.

- Dajcie jakąś karteczkę - Kris napisał parę słów i podał kartkę Kulczyńskiemu.

Kulczyński założył okulary i podszedł do czerwonego telefonu. Podniósł słuchawkę, coś nacisnął i czekał chwilę.

- *Yes, I have got something. Krawietz doesn't know, he*

has twenty years old son in Hamburg. Yes, write it down! – patrzył uradowany na Karola i Krzysztofa. – Sou de Souza... no, no, Sou is his wife or exwife name. Yes, address: Barmbek, Schmachthäger Strasse 1240. Son's name is Rudolf de Souza. Okey, bye!

- Nic więcej już chyba nie zrobimy. Za szczęście! – wzniósł toast Karol i dopili resztę wina.

-Krawietz, mam dla ciebie wiadomość – Wolfgang Stanke poczuł znowu przyływ nadziei.

- To gadaj, a nie strasz. Dość mam tych negocjacji i życia w ogóle!

- Czy ty wiesz, że masz syna, który nazywa się Rudi de Souza i ma teraz dwadzieścia lat?

- Co? Co to za bzdury? – Werner był zdumiony. – Skąd to wiesz?

- Po prostu wiem. Mieszkają z mamą Sou de Souza na Barmbeku.

Teraz Krawietz był naprawdę zdumiony.

- Udowodnij mi to! Jak to jakiś szwindel, spadam na elektrownię!

- Poczekaj godzinę, może półtorej, już po nich pojechali. Sam ich zobaczysz!

Krawietz był poruszony i nie mógł w uwierzyć. Ale to było możliwe. Odszedł od Sou w listopadzie w 1995, więc chłopak

musiałby się urodzić w 1996.

Spojrzał jeszcze raz na monitor. Pod helikopterem było już ciemno, ale pierścień wokół elektrowni był jasno oświetlony reflektorami pojazdów.

- Syn, Rudi, dwadzieścia lat. Ciekawe, czy do mnie podobny. Przyda się ewentualnie te pięć milionów, które rąbnąłem Mandlowi. Na pierwszy podarunek. No, zobaczymy.

Po około dwóch godzinach zauważył na monitorze lądujący w oddali helikopter i dwa wozy policyjne podjeżdżające do niego.

Po chwili oba samochody dołączyły do wozu „sztabowego”, jak go Krawietz w myślach nazywał.

- Krawietz, tu Wolfgang z policji!

- Pokażcie mi ich oboje, ale jak to jakiś numer, to koniec.

Zrobił na monitorze zbliżenie.

Tak, to była na pewno Sou, a ten wysoki, szczupły, Boże, to mój syn! Jaki podobny!

- Dobra, dajcie im mikrofon - wychrypiał zmienionym głosem.

- Werner, to ja, Sou. Rudi urodził się dwudziestego pierwszego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. Jest bardzo do ciebie podobny! - dała mikrofon Rudiemu.

- Tato, to ty? - głos Rudiego był drżący i wzruszony.

- Tak, to ja. Nie martw się, synu. Nie jest tak źle, jak to wygląda. Zresztą sam zobaczysz. Daj mikrofon Wolfgangowi.

- Tu Wolfgang, no to jak?

- Dobra Wolfgang, wygrałeś. Ląduję bez żadnych warunków, zróbcie na dole trochę miejsca.

Po chwili na monitorze zobaczył, jak samochody rozjeżdżają się na boki, zostawiając wolny plac mający około trzystu metrów średnicy.

- Wolfgang, ląduję, nie przeszkadzajcie mi. *Out!*

Werner Krawietz odłożył słuchawkę satelitarne telefonu.

Jaki to był dobry pomysł, że zgodził się wtedy na propozycję firmy „Dron Everywhere Ltd.” na przebudowanie helikoptera na drona, Prowadził cały czas swój helikopter z pokładu lecącego wycarterowanego samolotu i „negocjował”, bo pokładowy telefon i UKF-kę miał przekierowane na telefon satelitarny.

Nikt go nie łapał, nikt go nie szukał przez te kilka godzin, których potrzebował, żeby dolecieć do Portugalii.

Po wylądowaniu zapłacił pilotowi samolotu gotówką pięćdziesiąt tysięcy euro i w ciągu piętnastu minut był na swoim jachcie.

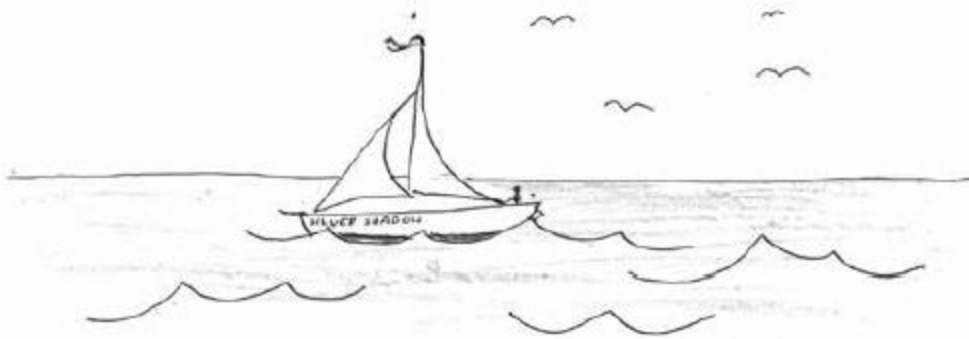
Wylądował helikopterem wśród policyjnych aut, siedząc już w kokpicie jachtu „SILVER SHADOW”.

Potem rzucił cumy i ruszył na spokojny ocean pod

rozwieżdżone niebo.

Miał do Providence Channel na Bahama trzy, może cztery tygodnie przy dobrej pogodzie.

- A potem trzeba pomyśleć, jak zobaczyć się z Rudim - pomyślał i dociągnął szot foka.



Grabówek, 22 września 2016

Detektyw Kris. W półmroku świtu

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-626-6

© Piotr Trzebuchowski i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Krystyna Rataj

KOREKTA: Bartłomiej Kuczkowski

OKŁADKA: Artur Rostocki

ILUSTRACJE: Piotr Trzebuchowski

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl,
<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zacytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

